

MEMORIAL

General Marii Wittek

FUNDACJA GENERAL ELŻBIETY ZAWACKIEJ
Archiwum i Muzeum Pomorskiej Armii Krajowej
oraz Wojskowej Służby Polek
87-100 Toruń, ul. Podmurna 93, tel. 0048 56 65 22 186
e-mail: fapak@wp.pl; www.zawacka.pl



Kobala
Adela Zawacka
Wenzel

LUP

† 1965

pen. WULF Czestawa

849/WSK

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — 849/WSK

++ WULF Cześćowa

zam. Orzechowska

I. Materiały dokumentacyjne

I/1 – relacja właściwa ✓ k. 73, 5-1-73

I/2 – dokumenty (sensu stricto) dot. osoby relatora —

I/3 – inne materiały dokumentacyjne dot. osoby relatora —

II. Materiały uzupełniające relację —

III. Inne materiały (zebrane przez „relatora”): —

III/1 – dot. rodziny relatora —

III/2 – dot. ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III/3 – dot. ogólnie okresu okupacji (1939–1945) —

III/4 – dot. ogólnie okresu po 1945 r. —

III/5 – inne... —

IV. Korespondencja —

V. Wypisy ze źródeł [tzw.: „nazwiskowe karty informacyjne”] ✓

VI. Fotografie ✓

I₁ Relacje

- Relacja własna, W-wa 1963, WIH, mps, rkps, kopia, k. 67, s. 1-67
- Relacja o Cz. Wulf oprac. przez J. Wolanin, Zielona Góra 1997, rkps, oryg., k. 3, s. 68-70
- Biogram Cz. Wulf oprac. przez A. Żurawską, [b.d.], mps, rkps, kopia, k. 3, s. 71 - 73



- 1 -

Iłk

Od marca 1940 r. przebywałam w Związku Radzieckim miasto Krasnouralsk, woj. świdłowskie, prócz mnie zamieszkiwało wielu Polaków wywiezionych z terenów polskich, po zajęciu tych ziem, przez wojska radzieckie w 1939r.

Zatrudniano nas do różnych prac, większość między innymi i ja pracowaliśmy w kopalni rudy. Przez niedługi okres czasu byłam zatrudnioną w ochronie dla dzieci polskich w charakterze wychowawczyni - zorganizowaną przez komórkę Związku Patriotów Polskich w Krasnouralsku.

Wczesnym latem 1942r., dotarła do nas wiadomość, że gdzieś na terenach Związku Radzieckiego, tworzy się armia polska, która w niedługim czasie przystąpi również do walk przeciw Niemcom. Niebawem dowiedzieliśmy się, że gen. Anders wywiózł ją podstępnie do Persji.

Wiosną 1943r. zaczęła krążyć wieść o tworzącej się znów armii polskiej i Związek Polskich Patriotów działający w Moskwie - wzywa do wstąpienia w jej szeregi. Pamiętam, jak paru Polaków zgłosiło się do miejscowego Związku Patriotów - prosząc o radę i bliższe szczegóły o armii, lecz niestety nie uzyskali żadnych, ponieważ Związek nie był zorientowany, prace jego ograniczała się jedynie do udzielania pomocy materialnej.

Pod koniec sierpnia 1943r., wielu mężczyzn i kilka kobiet jak: Maria Żmuda wraz z siostrą Zofią i ja, przez tamtejszy W.N.K.M.-zmobilizowani zostaliśmy do armii polskiej. Przybyliśmy transportem kolejowym, do stacji Diwowo, następnie udaliśmy się pieszo do miejscowości Sielce - położonej nad rzeką Oką.

Po paru dniach umundurowano nas w spodnie i bluzy drelichowe tak zwane gimnastiorki, buty z cholewami, onuce, pasy, konfederatki, płaszcze sukienne i bieliznę. Otrzymałyśmy kociołki i łyżki. Nasze lokum mieściło się w namiotach, po kilka w jednym. Każda posiadała: koc, po dwa prześcieradła, poduszkę i materac z siana oraz ręcznik.

1/1/2

Dowódcą Kobiecego Batalionu został Obyw. Mac w stopniu porucznika lub kapitana, był szalenie wymagającym. Muszę dodać, że był przystojny - wysoki, szczupły, brunet, nie jednej babce podobał się, ale prawie wszystkie unikały go w obawie, jak się wówczas mówiło "ażeby nie podpaść", bo wtedy Batalion ponosił karę - biegiem marsz po całym obozie w dodatku w pełnym umundurowaniu, aż do kompletnego wyczerpania. Bez żadnego współczucia i zrozumienia dla płci pięknej, często dawał wycisk tego rodzaju.

Do naszych obowiązków prócz wstępnej musztry, należało porządkowanie terenu naszego obozu, upiększanie wejść do namiotów w różne barwy wzory i desenie, przyznam że wyglądało to bardzo ładnie.

Przydzielano nas również do prac w rejonie polowej kuchni, co ogólnie uważano za bardzo korzystne, na miejscu można było się podkarmić i repety otrzymać, lecz nie wszystkie mogły osiągnąć do dna kotła, często zwracały się do mnie z prośbą o wypełnienie kociołków, co chętnie spełniałam i pewnego razu wybierając skrupulatnie resztki zupy - wysmarowałam sadzą spodnie i bluzę, które na szczęście wymieniłam w magazynie otrzymując zamiast świeże i czyste. W przyszłości prośbom koleżanek już nie uległam a radziłam wiloze apetyty poskromić, nabrać linii, którą winien mieć żołnierz i następne "biegiem marsz" przejdzie z mniejszym wysiłkiem.

Służbę wartowniczą pełniła część kobiet zmobilizowanych w pierwszym rzucie t.j. w maju 1943r. i pozostałych w Sielcach. Batalion kobiet-fizylierek wyjechał bliżej linii frontu / I Dyw. Piech. /

W pierwszej Dywizji przebywała również siostra stryjeczna Wulf Janina c. Stanisława urodz. w grudniu 1921r. Obecnie Orzechowska zam. Łódź - Górna ul. Uroczysko 23 m. 6.

11/13

W pierwszej dekadzie października 1943r. z pośród nas wybrano 54 kobiety i skierowano do Szkoły Podchorążych w Riazaniu w pełnym brzmieniu - Riazzańskie Piechotne Uczylszcze Im. Woroszyłowa. Zakwaterowane zostaliśmy w dużej sali na parterze. Trzy rzędy łóżek ustawiono plutonami : strzelecki, c.k.m. i moździerzy. Mnie przydzielono do ostatniego z nich.

Wyposażenie pozostało bez zmian, nie otrzymaliśmy kociołków i łyżek, ponieważ cały batalion konsumował ~~składny~~ posiłki w stołówce - oddalonej o parę set metrów. Na okres zimy wyposażono nas w ciepłe czapki obszyte sztucznym futerkiem i rękawiczki.

Dowódcą Batalionu był kpt. Muratow - wysoki, dobrze zbudowany w średnim wieku, cieszący się sympatią wśród podchorążych. Dowódcą naszej 7-mej kompanii został lejt. Czerkasow - średniego wzrostu, szczupły, blondyn, młody o dziewczęcej cerze, należał do typu ludzi złośliwych.

Funkcje dowódców plutonów sprawowały kobiety /nazwisk nie pamiętam/ w stopniach mł. lejts. Włożyły one wiele pracy w wyszkolenie nas, starając się przekazać całą wiedzę, którą uprzednio zdobyły same podczas szkolenia. Na szefa komp. mianowano plut. Halinę Bielawską. Na bezpośrednie opiekunk plutonów wytypowane: kpr. Muchę, kpr. Tomczyk i kpr. Helenę Krupę.

Po paru dniach otrzymaliśmy przydział broni. Każdą zaopatrzone w karabin, natomiast pluton nasz w trzy moździerze 82 mm. wraz ze skrzynkami do min. Pluton c.k.m. otrzymał swój karabin maszynowy. Poza tym w składzie broni n/kompanii znajdowały się: jeden moździerz 50 mm., miny do moździerzy 82 mm. i 50 mm., granaty ręczne i przeciwczołgowe, raketnice, naboje i ręczny karabin maszynowy. Z pozostałych rodzajów broni korzystano na lekcjach w innych kompaniach, lub w drugim uczylszczu.

W szkole rozpoczął się okres znacznie trudniejszy od poprzedniego, od godz. 6-tej do 22-giej - dzień wypełniony był całkowicie zajęciami. Okres szkolenia trwał niepełne 4 miesiące, więc instruktorzy w szybkim tempie pracowali, nad przygotowaniem nas do późniejszych walk. Często mówili, jeżeli teraz jest ciężko, to w boju lżej będzie.

W dniu 13 października zorganizowano dla batalionu wiec, na którym zako-

- 4 -

1414

munikowano nam, że I Dyw. Piech. Im. Tadeusza Kościuszki - bierze udział w walkach z wrogiem i jej pierwszy chrzest bojowy odbywa się pod Lenino informując jednocześnie o przebiegu bitew.

Komunikat ten dodał bodźca do intensywniejszej pracy nad sobą, nie było to jednak łatwe zadanie, ponieważ materiał był obszerny.

W zakres zajęć wchodziło: nauka o wszystkich rodzajach broni, bardziej szczegółowa obowiązywała - na wybraną specjalność, taktyka strzelecka i moździerzowa, musztra, topografia, saperstwo, regulamin, służba wartownicza, czyszczenie broni oraz ich odpowiednia konserwacja i zajęcia polityczne, które prowadziła z nami chor. Kubiak.

Miałymy tym większe trudności, że wykłady, jak i podręczniki były w języku ruskim. Po pewnym okresie dostarczono parę książek w języku polskim. Do późnej jesieni kompania kobieca hartowała się, przez mycie w rzece Trubież - oddalonej około 1-go km., w tym czasie kompanie męskie uskuteczniały tę czynność w umywalkach mieszczących się wewnątrz budynku szkolnego. Po umyciu następowała gimnastyka trwająca 15-20 minut, a powrót, jak i przyście odbywało się biegiem w tym przypadku, jak najbardziej wskazane.

Do naszej kompanii zaliczał się również pluton moździerzy męski sąsiadujący z naszą salą. Oddawali nam wiele usług, między innymi szabrowali drzewo - rozbierając w pobliżu parkany i komórki na opał do naszego pieca. Sala nie ogrzała się tym, ale przynajmniej mogliśmy osuszyć buty i onuce, przemoczone w czasie odwilży. Często mieliśmy wspólne ćwiczenia cieszyliśmy się, że idą z nami i jako dżentelmeni poniosą moździerz /długość trasy wynosiła około 1,5 km./, ale dowódca komp. musiał być w nadzwyczajnym humorze, jeżeli na to zezwalał w większości zapadała decyzja "diwczata ponosut minamioty".

Pewnego dnia wróciliśmy z zajęć i oczom swoim nie wierząc - zastaliśmy przejście bezpośrednie z korytarza - oszalowane deskami od podłogi do samego sufitu. Byliśmy tym oburzone, odcięto nas od batalionu, nie mo-

1/415

głyszmy nawet porozmawiać - zapanowała kompletna monotonia zdaliśmy sobie wówczas sprawę, że jest bardzo smutno bez kolegów. Usługi wykonywane względem nas zmalały, ponieważ wchodzenie wejściem od podwórza wyłącznie na teren naszej kompanii - lejt. Czerkaszowi rzucało się w oczy; poza tym zajmowało wiele cennego czasu. Po upływie dwóch, czy trzech tygodni "okno na świat" zostało ponownie przywrócone, wobec czego życie u nas normalnie potoczyło się.

7-ma kompania do końca turnusu poprzedniego stanu nie utrzymała, gdyż z plutonu moździerzy pożegnano dwie koleżanki, które najprawdopodobniej skierowano do zapasowego pułku. Jedną Dawidowicz, lub Dawidowska - tupa w nauce, drugą Kurowska - flegmatyczka, zawsze najpóźniej dochodziła na zbiórki, nieręgowala kompletnie na żadne uwagi ze strony dowódców, w ogóle w swoim zachowaniu była dla nas typem niespotykanym w 20-tym wieku. Muszę dodać, że miała śliczne włosy - długie, gęste, koloru kasztan, które w drodze wyjątku zezwolono utrzymać. Nas w pierwszych dniach bez pytania podstrzyżono na polkę, przynajmniej że w takich warunkach fryzury te były praktyczne.

Przypominam sobie, jak pewnego dnia wstałyśmy zmierznięte, osowiałe w nocy padał śnieg i dął silny wiatr, przez siedem pojedynczych okien wyziębił się bardzo. Nie rozgrzałyśmy się biegiem do stołówki, ani też gorącym śniadaniem. Po posiłku, jak zwykle nałożyłyśmy na plecy moździerze, dysponując chwilą czasu sprawdziliśmy wzajemnie, czy są dobrze zapięte i poszłyśmy z dow. kompanii na taktykę za rzekę Trubież, za kilka minut doszedł dowódca batalionu, porozumiałyśmy się wzrokiem, co znaczyło "dziewczynki trzymajmy się "

Kapitan Muratow podjął decyzję prowadzenia taktyki, na wstępie wprowadził szczegółowo w akcję oznajmiając, gdzie jest wróg i jakie mamy zadanie. Zrozumieliśmy i dzigaliśmy właściwie, przy zmianie stanowisk ognio- wych ponownie ustawiliśmy moździerze, nawet sprawnie, ale dowódcy nie odpowiadało to. Z kolei dał inne zadanie: wpierw czołgaliśmy się kilka
dziesiąt

Dzię

6

metrów, następnie biegliśmy przez rowy zasypane śniegiem i zaspą - zapadając się dosłownie po pas, wyglądało to komicznie, chwilami parskałymi śmiechem, lecz za moment zbierałyśmy wszystkie siły, aby zadanie wykonać, muszę dodać że działaliśmy solidarnie, jedna drugą z zasp i rowów wyciągała, szczególnie koleżanki niskie, jak Zosia Włoch i Adela Dyszczekowska nie mogły w żaden sposób poradzić sobie. Dow. batonu wciąż przyspieszał bieg, musieliśmy dorównać wreszcie po ciężkich trudach dotarliśmy, do miejsca przeznaczenia i ustawiliśmy moździerz. Tu kpt. Muratow pokazał, jak należy usadzić płytę oporową - podniósł wysoko, jak rzecz bardzo lekką a nie przedmiot wagi 16 kg. i z miejsca mocno wbił w ziemię, czego żadna z nas w taki sposób mimo kilkakrotnych prób oczywiście nie wykonała. Ćwiczenie wypadło dobrze, dow. bat. pochwalił nas, chociaż byliśmy nieludzko zmęczone, lecz zadowolone. Taktyka ta przyniosła nam wiele pożytku - zrozumieliśmy doskonale sens i zadanie, przede wszystkim podejście właściwe do ludzi cechowało kpt. Muratowa, czego niestety dow. kompanii nie posiadał.

Lubiłyśmy również zajęcia taktyczne prowadzone przez dow. plutonu - wymagała dużo, to było konieczne zdawałyśmy sobie sprawę, że musimy opanować i wykonywałyśmy dokładnie, spokojnie nie denerwując się.

Koleżanki z plutonu moździerzy:

Ludwika Opałko	obecnie Reuth	zam. w Warszawie
Elżbieta Opałko		zam. we Wrocławiu
Larysa Krupicz	obecnie Żekowicz	zam. Wrocław ul.
Leokadia Kozłowska		
Irena Kruszewska		
Ola Gołębiowska		
Lina Podgórska	w 1946r. mieszkała we Włochach	

Koleżanki z plutonu c.k.m.:

Helena Junkiewicz
Maria Górniak
Janina Błaszczuk

Wyżej wymienione były w III-ciej Dywizji

Kilkaście nazwisk wymieniłam, dwa pozostałe wyszczególnione w dalszej treści więcej nazwisk nie pamiętam.

Około połowy lutego 1944r., po zdaniu egzaminów i otrzymaniu stopnia chorąży /stopień podporucznika nadano tylko podoficerom/ część absolwentów z turnusu odesłano transportem kolejowym, pod Smoleńsk około wsi Łaptiowo, gdzie parę dni czekaliśmy na przydział. Z kobiet kol. Jadwigę Kaczyńską i mnie skierowano do Samodzielnego Dywizjonu Moździerz 120 mm., wieś Iwanowo i Prochomowo. Jednostka rozlokowała się w mieszkaniach i zabudowaniach gospodarczych tamtejszej ludności.

W Dywizjonie w dalszym ciągu przechodziłyśmy szkolenie jak: nauka o broni nacisk położony był na techniczne opanowanie moździerza 120 mm., przygotowanie danych do otwarcia ognia, służba wartownicza i t.p.

Muszę zaznaczyć, że szalenie zaimponował mi ten rodzaj broni - dosłownie pochłaniałam wiedzę z tej dziedziny. Brałyśmy udział w teoretycznym strzelaniu w dzień i kilka odbytych nocą. Od dowódcy nazwiska nie przypominam sobie - otrzymałyśmy pochwały, za wzorowe spełnianie powierzonych obowiązków. Otrzymałyśmy nowe mundury sukienne, spódniczki wełniane, pasy wyglądałyśmy wówczas korzystnie.

Nie mogłam doczekać się chwili przydziału plutonu, pewnego razu zapytałam o to dowódcę, wyjaśnił on, że wkrótce dywizjon powiększy liczebnie swój stan wtedy wszyscy oficerowie około 8-miu - nieposiadający swoich pododdziałów otrzymają je. Pod koniec marca 1944r. Dywizjon z pod Smoleńska przybył pod Kijów wieś Wertikijewka i tam 1-go kwietnia 8-miu oficerów otrzymało skierowania do nowo-formującej się dywizji niedaleko Sum. Z wielkim żalem pożegnałam Dywizjon 120 mm. Moździerz.

Po przybyciu do Sum zgłosiłyśmy się do mjr. Rzęczyckiego, kol. Kaczyńska poprosiła o skierowanie do sztabu, twierdząc że na linię nie nadaje się. Major zwracając się do mnie zapytał, czy chcę pracować w sztabie któregoś z pułków, czy też dywizyjnym /IV-ta Dywizja/, odpowiedziałam że w żadnym przypadku w sztabie - zdobyłam wykształcenie, czuję się na siłach i posiadam skierowanie na dow.plutonu 120 mm. moździerz.

5/1/8

Po dłuższej dyskusji, która toczyła się w miłym nastroju, mjr. Rzęczycki prowadził ją w formie przyjaznej, można określić że rozmowa zmieniła charakter na towarzyską zakomunikował, że będę w lo-tych pułku u dow. baterii 120 mm. moździerzy por. Witkowskiego, który przechodził szkolenie w dywizjonie.

Za parę dni wybraliśmy z majorem Rzęczyckim z-cą dow. pułku, żołnierzy nielinowców - rzemieślników różnych dziedzin i przyjechaliśmy do wsi Stecowka - oddalonej od Sum o 20 km., do miejsca formowania i czasowego postoju lo-go p.p. W początkach grupa żołnierzy miała zadanie ulepszenia i porządkowania ziemianek - pozostałych po wojskach radzieckich w przewidzonym odcinku lasu, parę set metrów od wsi. / Przyszłe lokum 1-go batalionu./

Przez jakiś czas nie miałam okazji bliżej poznać Dowódcę lo-go pułku płk. Potapowicza, był on bardzo zapracowany w związku z formowaniem się pułku. Pewnego dnia zostałam przedstawioną dow. pułku, przy czym mjr. Rzęczycki zaznaczył, że jestem skierowaną na dow. plutonu 120 mm. moździerzy płk. Potapowicz nie przyjął tego z zadowolaniem, znów zaczęli mówić o za trudnieniu w sztabie.

Stopniowo do lo-go pułku przybywały kadry oficerskie, część z armii radzieckiej z tego większość pochodzenia polskiego i absolwenci szkoły podchorążych.

Później moją pracę przejęli inni - budowano nowe ziemianki a mnie widocznie dla sprawdzenia zatrudniono w sztabie. Wykonywałam pracę z wielką niechęcią, co chwila spoglądając w okno, była wiosna w całej pełni, łąki zazieleniły się, drzewa rozwijały młode listki, na późniejszych były jeszcze pąki - kocham przyrodę i nie mogłam podziwiać jej piękna. Miewałam uporczywe bóle głowy. Prawie codziennie pytano mnie, jak się czuję a płk. Potapowicz stale podkreślał, że to jest najodpowiedniejsze prace dla kobiety - w niedługim czasie pójdziemy na front i do tej pory

I/1/9

mały was tylko jedną w pułku.

Przez krótki okres miałam pełne ręce roboty, do godz. 14-tej zajęcia w sztabie, natomiast w godzinach popołudniowych brałam udział w ćwiczeniach z zakresu taktyki strzeleckiej, które prowadził z oficerami kpt. Lubecki dow. 1-go batalionu. Zaglądałam również do grupy artylerzystów, ażeby czegoś nie przeoczyć - słuchałam pogadanek na tematy aktualne, lubiłam gdy opowiadali o walkach w których uczestniczyli będąc w armii radzieckiej. Wśród nich czułam się świetnie, darzyliśmy się wspólnie wielką sympatią. W międzyczasie wszyscy młodzi stażem oficerowie otrzymali osobistą broń. pistolety tak zwane nagany. Przypominam sobie, jak pewnego dnia zagadnął mnie kpt. Lubecki, czy umie z niego strzelać - odpowiedziałam szczerze, że do tej pory nie strzelałam. W szkole raz zaledwie przeprowadzono strzelanie z ręcznych karabinów maszynowych, które nie wypadło dobrze dodając że było zimno i ręce nam zmarzły. Otrzymałam naganę po raz pierwszy i chętnie zalekoji skorzystam.

Nauka strzelania odbywała się w lesku - kapitan przynosił ogromne tarcze ustawiając je w odpowiednich miejscach i zaznaczał na nich odcinki, gdzie miałam trafić, przy czym śmiało się i żartowaliśmy. W początkach dow. baonu powiedział, że trafiłam w dom ściśle określając w mały domek, później po jakich takich wynikach oznajmił, że udało się mnie trafić w słonia a wreszcie w człowieka, który pod koniec podziurawiony był, jak sito. Kapitan nie mało poświęcił dla mnie czasu i swoich naboji, zanim osiągnęłam dobre wyniki.

Po dniu uczciwej pracy czekał mnie zasłużony odpoczynek u bardzo dobrych i miłych gospodarzy, gdzie byłam zakwaterowana.

Odstąpiono do mojej dyspozycji drugi pokój, sypiałam na wygodnym szerokim łóżku - usłanym dosłownie puchowymi poduszkami. Polubili mnie, jak własną córkę, opowiadali często o dwóch synach i córce ~~xxxxxx~~ przebywa-

jącymi w tym czasie na froncie. Tiotia częstowała mnie obiadami - wspaniałym barszczem ukraińskim, kaszą jaglaną z mlakiem i innymi potrawami, ja rewanżowałam się konserwami, ciastkami i papierosami - uczyłam się palić. Pewnego razu tiotia powiedziała mi Stiesza, tak nazywała mnie, my idziemy do pracy w ogrodzie - mamy pilną robotę, którą chcemy dziś skończyć i na obiad nie przyjdziemy, ty jak wrócisz bierz sama żupę i jedz, nie krępuj się. Przybiegłam z zajęciem głodna, jak hart i nie wiele namyślając się - wzięłam specjalne widełki, którymi wyjmowało się z pieca garnki żelazne t.zw. czyguny, odpowiednio dostosowane do uchwytów, ale zrobiłam to bardzo niezręcznie i wylałam żupę odetchnęłam z ulgą, gdy zorientowałam się, że nie dużo. Apetyt odleciał, zagrzebałam popiołem miejsce żeby nie poznano i znów poszłam na ćwiczenia. Na przyszłość nie wzięłam już widełek do rąk, lecz umawiałam się z gospodynią w takich godzinach aby wspólnie z nimi konsumować obiady, lub z nich rezygnowałam.

Po 10-ciu dniach pracy w sztabie zostałam zwolniona, ponieważ przybyła z tarnopolskiego większa ilość poborowych i wtedy otrzymałam pluton, ale nie moździerz 82 mm., przyznam że nie byłam tym zaskoczona, domyślałam się i niektórzy oficerowie mówili, że do 120 mm. nie przydzielą mnie, bo tam był komplet, natomiast do 82 mm. brakowało. Powiedziałam sobie - niech już tak będzie aby moździerz a nie papierki, pracy siedzącej nie lubiłam.

Dowódcą 1-szej kompanii moździerzy został por. Józef Tuszyński, dow. 3-plutonu chor. Jury Artiomienko - obydwaj przysłani z armii radzieckiej. Dow. 1-go plutonu chor. Wallner Kornel - absolwent szkoły podchor., ja zostałam dowódcą 2-go plutonu.

Cała kompania liczyła prawdopodobnie 66 osób, czyli pełny stan etatowy za wyjątkiem oficera polit.-wychowawczego, który przybył później i na bardzo krótki okres. Następnie wyżej podaną funkcję po krótkim przeszkoleniu pełnił podoficer Julian Żołyński. Po wysłaniu go do szkoły oficerskiej wychowawcy politycznego nie posiadaliśmy.

Po ukończeniu szkoły chor. Julian Żołyński przybył do naszej kompanii w marcu 1945r. i objął czynności polityczno-wychowawcze.

Po umundurowaniu żołnierzy zaczął się okres pracy przygotowawczej, uczo-no musztry, zapoznawano z regulaminem, przeprowadzano pogadanki polityczne - często czyniłam to sama, chciałam wybudzić nastrój, samopoczucie, starałam się bliżej poznać moich żołnierzy, przy tym wytwarzałam atmosferę przyjazną niezapominając o dyscyplinie i dystansie. W początkach zetknę-łam się z ironicznymi uśmieszkami - wiedziałam dlaczego, nie zrażałam się jednak tym, lecz wytrwale i systematycznie wyeliminowywałam ironię - zdobywając stopniowo zaufanie i szacunek, co w niedługim czasie uzyskałam.

Pod koniec maja otrzymaliśmy broń i sprzęt pomocniczy a mianowicie:

9 moździerz, skrzynki do min, trzy topory, piłę, ze dwa automaty, około 30-tu karabinów, 5 kompasów, lornetki, wszyscy chełmy i łopatki.

Wtedy zaczął się okres wzmoczonej pracy, każdy z dowódców wziął się solidnie za robotę, uczo żołnierzy obchodzenia się z bronią, opisywano dokładnie moździerz, przeprowadzano na polach opodal wsi taktykę strzele-cką i moździerzową.

Po zorientowaniu się podzieliłam pluton na 3 drużyny, młodszych i zdol-niejszych wyznaczyłam na : dowódców drużyn, celowniczych i ładowniczych, natomiast starszych na : amunicyjnych, do podnoszenia min, i woźniców.

Na marginesie zaznaczam, że koni i pocisków narazie nie posiadaliśmy, na ćwiczeniach podnoszono skrzynki bez pocisków. W zasadzie wszyscy żołnierze musieli zapoznać się z wykonywaniem poszczególnych funkcji, przy obsłudze moździerza, na co robiłam duży nacisk.

Cwiczenia z zakresu taktyki moździerzowej nie sprawiały mi żadnej trud-ności, poza tym bardzo lubiłam i mój pluton szybko opanowywał, najważni-jsze, że rozumiał mnie i zdążyłam już częściowo wychować ich w krótkim czasie.

Parę razy dowódca polecał mi prowadzenie taktyki z całą kompanią, co należało w tym czasie do trudniejszego zadania, gdyż stawiano mi kontra, żołnierze udawali, że nie słyszą, czy nie rozumią szczególnie gdy dow. kompanii oddalił się. Mimo to nie przejmowałam się i w dalszym ciągu prowadziłam zajęcia. Wierzyłam, że przyjdzie chwila w której ich upór przełamie.

Pewnego dnia dowódca pułku zorganizował odprawę wszystkich oficerów, na której poruszył wiele spraw, między innymi zarządził kategorycznie, aby wszyscy oficerowie liniowi opuścili prywatne kwatery i zamieszkali w ziemiankach, ponieważ spóźniają się na zajęcia, niezależnie prócz oficerów dyżurnych pozostali też winni być na miejscu swoich pododdziałów.

Znalazłam się w wielkim kłopotcie, ziemianki dla mnie nie było, zwlekać nie mogłam, gdyż zdawałam sobie sprawę, że płk. Potapowicz mógłby zarzucić mi, że dow. plutonu chcę być, lecz ziemianki boję się "idziemy przeciwieź na front" - słowa dow. pułku. Wtedy przyszedł z pomocą dow. kompanii - proponując chwilowe zamieszkanie w czwórce w ziemiance ~~z dwoma izbami~~ dwu-izbowej, na co zgodziłam się, wprowadzie było to nieco krępujące, lecz poradziłam sobie. Po paru dniach przeniosłam się do swojej nowo-
budowanej.

Prócz normalnych zajęć, jakie należały do wykonywania przez poszczególnych dowódców, chor. Wellner i ja tylko i wyłącznie uczyliśmy musztry i przygotowaliśmy całą kompanię do defilad, bo ani por. Tuszyński ani chor. Artiomienko nie mogli dobrze opanować podawanie komend. Muszę dodać że ja jako kobieta dobrze podawałam komendę wyróżniając się już w szkole, poza tym oficerowie riaszańskiej szkoły ślicznie defilowali.

W dniu 8 czerwca odbyła się w Stecowce pierwsza defilada całego pułku, którą przyjmował Dowódca IV-tej Dywizji gen. Kieniewicz w asyście swoich zastępców ppłk. Grażewicza i mjr-a Urbanowicza.

Wywarła na nas wielkie wrażenie pamiętam, jak żołnierze mówili aby takie defilady częściej się odbywały.

Pod koniec czerwca pułk opuścił Stecówkę żegnając się serdecznie z ludnością, nie zapomniałam pożegnać również moich zacnych gospodarzy dziękując im za troskliwą opiekę nad mną.

Udaliśmy się pieszo do stacji kolejowej Sumy, tam załadowano nas do transportu kolejowego i jechaliśmy przez Kijów, Szepietówkę i Równe do Ołyki. W czasie przejazdu przypominam sobie, jak mjr. Żalubowski - Szeft sztabu pułku objął dowództwo transportu, kontrolując oficera dyżurnego zastał ~~na~~ w kuchni bałagan z miejsca usunął go, przekazując mnie tę funkcję. Zapytałam dlaczego tak późno, nie zdążę na czas z obiadem i wówczas całą winę przypiszecie mnie obywatelu majorze. Szeft sztabu upewnił, że nie będzie rościł żadnych pretensji, lecz wierzy w moje umiejętności prosząc o możliwe w tych warunkach przyspieszenie, przyjmując dyżur odpowiedzialnym, że zrobię wszystko aby nadrobić stracony czas. Musiałam włożyć wiele energii, aby dokonać przyspieszenia wydania na następnym postoju - gotującego się w tym czasie obiadu, oraz zorganizować po wypróżnieniu kotłów szybkie nabrań wody na następny posiłek, ale obiad jednak był spóźniony, nadrobienie w całości straconych godzin było niewykonalne. Nadmieniam, że żołnierze byli zadowoleni, gdy pełniłam dyżur na kuchni ponieważ obiady były bardziej obfitsze, smaczniejsze i repeta też, którą kucharze zawsze zdążyli wydać.

Po wyładowaniu transportu naszej grupy w dniu 30 czerwca przeszliśmy kilka kilometrów w głąb ołyckich lasów rozlokowując się w ziemiankach i namiotach. Z uwagi na niebezpieczeństwo ze strony grasujących band U.P.A. - zostały zachowane wszelkie środki ostrożności, nie wolno było nap. żołnierzom w pojedynkę oddalać się.

Pamiętam, że na tymże postoju prowadziłam często ćwiczenia taktyki morderczej z kompanią i pewnego razu prowadząc ją sama na najbliższą z polan, podałam rozkaz "kompania śpiewa" żołnierze nie usłuchali za w jątkiem plutonu mojego, powtórzyłam znów rozkaz - nie wiele pomogło, z trzecim zaśpiewano gremialnie, lecz piosenkę nieprzyjemną dla kobiece-

go ucha, przerwałam natychmiast wyjaśniając, że nie życzę sobie słyszeć wulgarnej piosenki i podałam rozkaz "kompania śpiewa". Niestety nie wszyscy dostosowali się do mojego rozkazu, wówczas miarka przebrała się z całą bezwzględnością podawałam tylko : podnij, czołgaj się, biegiem marsz, i tak na przemian. Po kilkunastu minutach takich ćwiczeń oczywiście z młodzieżami doszli wreszcie do wniosku, że na złość robić nie można. W tym dniu przełamalam upór raz na zawsze całej kompanii - wyzbywając ich tym samym z fałszywej ambicji męskiej w stosunku do kobiety - dowódcy.

W końcowych dniach czerwca przybyła do naszego pułku na oficera liniowego koleżanka ze szkoły podchorążych /pluton strzelecki/ chor. Emilia Gierczak i po raz pierwszy od rozstania się w Riazaniu - spotkałyśmy się w Olyce a ściśle określając w ołyckim lesie. Emilia czasowo swojego pododdziału nie posiadała, lecz najprawdopodobniej przydzielono ją do dyspozycji Szefa sztabu mjr-a Żalubowskiego.

W maju przybyły również z armii radzieckiej na pracowników Służby zdrowia Olga Kwitko w stopniu st.sierżanta oraz młodszy lekarz pułku por. Kira Kosjan. Na miejscu postoju w Stecowce - polubiłyśmy się wzajemnie i już zdążyłyśmy się zaprzyjaźnić, jeżeli tylko warunki pozwalały odwiedzałyśmy się.

Do codziennych zajęć posiadałyśmy drelichowe mundury i spodnie tak zwane pompy, przy których nogawki u dołu wciągnięte były w gumkę, nakładając spodnie należało w ten sposób podciągnąć nogawki, ażeby właściwe pompy utworzyły się na wysokości kolan. Przyznam, że wyglądało to dość sztywnie. Na defilady i inne uroczystości nakładałyśmy spódniczki wełniane i mundury sukienne w dobrym gatunku.

Od początku żyłam w zgodzie i w ścisłym kontakcie uważając to za niezbędne z oficerami magazynu mundurowego, często ich odwiedzałam i na wstępie pytałam, co nowego mają dla babek, przywitym pouczałam, że kobiety muszą wyglądać ładnie, porządnie i świeżo, należy zaopatrzyć je w kilka par bielizny, pończoch i innych drobnych przedmiotów, gdyż nie zawsze

są możliwości do uprania tychże, wobec czego rezerwa jest konieczną. W lasach ołyckich korzystając z pobliskiego sąsiedztwa kilka razy przychodziłam do magazynu i pewnego dnia zrobiłam nalożenie nie zdążyli rozpakować paczek, kpt. Lisowski gdy zobaczył mnie - oznajmił że przywieźli coś dla kobiet, ale towar jeszcze nie jest przyjęty i wydać nie mogą, rzucił abym przyszła jutro, lecz ja tak szybko nie wychodziłam. Powiedziałam, że muszę wymienić spodnie wstawiając przy tym, że moje są mocno zniszczone, zaznaczano mi, że nie są ładne, ja nieuwierzyłam prosząc o zdjęcie z półki, po obejrzeniu jednak zrezygnowałam, moje używane były o wiele ładniejsze w lepszym gatunku i dobrze leżały a nowe miały ciemny kolor w dodatku za szerokie w talii, podziękowałam za nie dodając, że już poczekam może niedługo będziecie mieli coś lepszego i na moją miarę. Na drugi dzień zgodnie z umową przybiegłam i zostałam zaopatrzoną w efektowne i bardzo praktyczne trykotowe koszulki w dobrym gatunku - dwie białe i jedna w kolorze lilii-róż z których byłam niezmiernie zadowolona. Następnym razem otrzymałam pończochy, rączniki i inne drobiazgi oraz dobrałam sobie mundur ćwiczebny identyczny w odcieniu moich spodni, zdając oczywiście stęry.

Zaznaczam, że dbano o nas i przy wymianie żadnych trudności nie było a przeciwnie chętnie zmieniali - wysłuchując cierpliwie i biorąc z humorem niejednokrotne grymasy.

W niedługim czasie uzupełniłam sobie bieliznę, do 6-ciu prawie nowych pełnych kompletów damskich w tym posiadałam 5 koszulek trykotowych, które jednocześnie w chwilach odpoczynku z powodzeniem zastępowały bluzeczki - nie ulegały gneceniu podczas noszenia ich pod mundurem, gorzej natomiast było z pończochami, często odczuwałam ich brak - widocznie ograniczono przydział w Gł. Kwatermistrzostwie W.P.

W niedługim czasie zaczęliśmy się przygotowywać do wymarszu bliżej ziemi polskiej. Pouczyłam żołnierzy, jak mają się zachować xxxxxxxxxx nie-

1/1/16

zapomniałam o higienie osobistej zwracając szczególną uwagę, na zachowanie w czystości nóg oraz właściwe owijanie onuc, co uchroni od obtarć i odparzeń w czasie forsownych marszów.

Pod koniec lipca wyruszyliśmy z ołyckich lasów w kierunku Kowla. Na odcinku trasy nasza kompania i inne sąsiedzkie, co zdążyłam zauważyć maszerowały bardzo zdyscyplinowanie. Na początku miałam wiele kłopotu z końmi, moi woźnicy a miałam ich trzech w rezerwie - bracia stryjeczni nazwiskiem Machii, chociaż mieli swoje gospodarstwa rolne w związku z tym trzymali konie, wybrali wyjątkowo bardzo słabe mongołki, które po piąchach furmanki z trzema moździerzami i ze skrzynkami już wówczas z minami wyciągnąć nie mogły. Często prawie cały pułk przeszedł a mój pluton zostawał daleko w tyle, po niedługim wypoczynku konie znów ciągnęły, gdy wyszliśmy na lepszą drogę - szły wolno, ale przynajmniej nie zostawaliśmy w tyle.

Niedaleko Kowla droga była okropna, przy tym padały deszcze, więc konie osłabły i kompletnie ustały, wtedy chor. Wallner moje koni wymienił u gospodarzy - na lepsze i mocniejsze.

Mimo zmęczenia uciążliwym marszem, żołnierze cieszyli się, że zbliżają się do granic Polski a gdy przekroczyli rzekę Bug w pobliżu Lubomla - zapanowała ogromna radość i wzruszenie, niektórzy płakali. Po przemówieniu Dowódcy pułku i jego Z-cy polit.-wychow. kpt. Konińskiego zapanował uroczysty nastrój - żołnierze słuchali w wielkim skupieniu, że już wkrótce wezmą udział w walkach o wyzwolenie ojczyzny.

Z kolei przekroczyliśmy Chełm, następnie udaliśmy się do Lublina. Na tej trasie dokuczaly nam bardzo upały, żołnierze odczuwali zmęczenie, należało zwracać uwagę, aby nie pili lodowatej wody, poza tym w czasie krótkich odpoczynków nie położyli się na ziemi, ponieważ byli ~~zmęczeni~~ spoceni, zalecano jedynie odpoczynki w pozycji siedzącej. Wieczorem z utęsknieniem wyglądali, czy na horyzoncie pokaże się las i gdy już dostrzegli - szli raźniej przyspieszając kroku, wyczuwali że w tym lesie sądząc po jego rozmiarze - będą mieli nocleg. Przyznać muszę, że czyszczenie bro-

17/11/42

ni, mycie i zjedanie kolacji odbywało się w tempie przyspieszonym. Następnie dotarliśmy do Lublina. Ludność na trasie i w wymienionych miastach witała nas z wielkim entuzjazmem, zasypywano nas kwiatami, wznoszono okrzyki "niech żyje Wojsko Polskie". Znalazły się tam również elementy obce, które prowadziły wrogą propagandę usiłując podważyć jedność w szeregach ludowego wojska, zdarzały się również przypadki namawiania żołnierzy do dezercji, ale nasi Dowódcy Dywizji zawsze czujni - szybko zorientowali się w sytuacji i zdejmując sobie sprawę z grożącego niebezpieczeństwa Z-ca Dow. Dyw. polit.-wychow. mjr. Urbanowicz wydał rozkaz wprowadzenia szerokiej akcji uświadamiającej o aktualnej sytuacji politycznej, wojennej oraz wyjaśniającej znaczenie "Manifestu P.K.W.N.", którą realizowano wśród oficerów i żołnierzy.

W 10-tym pułku rozpoczął pracę kpt. Koniński Z-ca Dow. pułku polit.-wychow. przypominam sobie, że bardzo pilnie słuchałam, gdyż pogadankę miałam przenieść na teren n/kompanii, ponieważ nie mieliśmy oficera polit.-wychow. prosił mnie o to dow. kompanii por. Tuszyński

Przeprowadziłam ją jak umiałam w sposób prosty, jasny, dla wszystkich w pełni dostępny, po wypowiedziach niektórych żołnierzy można było wywnioskować że sens zrozumieli - w słowach ich dominował przede wszystkim zapal do walki i wielkie przywiązanie do pułku i dowódców, ale czujność obowiązywała i nieraz uświadamiano ich, nawet w życiu codziennym.

Prócz wzmożonej pracy oficerów polityczno wychowawczych również oficerowie liniowi wydajniej pracowali, nad doszkalaniami bojowymi swoich pododdziałów - czas naglił, w okolicach Lublina odbywały się ćwiczenia z ostrym strzelaniem i ze współdziałaniem wszystkich rodzajów broni.

Przypominam sobie, jak pewnego dnia podczas odpoczynku na zajęciach jeden z żołnierzy pełniący funkcję amunicyjnego /nazwiska nie pamiętam/ zapytał dlaczego tak stale ćwiczy się dodając, że on już wszystko umie. Odpowiedziałam, że do tej pory wszyscy nieopanowali dobrze taktyki i nie jeden z was tu obecnych nie zna podstawowych zasad pracy moździerza

511/48

Postanowiłam przeegzaminować: amunicyjnych, podnoszących miny, oraz 2-
ch woźniców /jeden przydzielony był do pilnowania koni./ Zwracając się do
amunicyjnego zapytałam - co byście zrobili z miną, która po wrzuceniu do
lufy moździerz, niewyleciała z niej, lecz tam utknęła, namyślał się
chwile w końcu powiedział, że zapomniał, to samo pytanie skierowałam do
podnoszącego pociski - odpowiedział, że o tym wiedzieć nie musi, wyprowa-
dziłam go z błędu wyjaśniając, ~~xxx~~ że to zagadnienie musi znać cała załoga
Z kolei tych dwóch spytałam, czy bez względu na to, że jest już jeden po-
cisk w lufie wrzuca się drugi i co wtedy następuje?

Na te pytania - odpowiedzi uzyskałam właściwe.

Na pytanie, co robi się z miną, jak ją usunąć w dodatku czym zostało spo-
wodowane zatrzymanie jej w lufie - odpowiedział drugi amunicyjny szer.

Mołodecki.

Do praktycznego pokazania w jaki sposób usuwa się zatrzymaną w lufie minę
zaangażowałam z grupy trzonu plutonu: celowniczego, ładowniczego oraz do-
kooptowałam amunicyjnego, przy czym zwróciłam uwagę na właściwą współpra-
cę poszczególnych funkcji, przy moździerzu. Zespół chociaż nie był zgra-
ny- każdy z innej drużyny lecz wykonał sprawnie oczywiście bez miny, któ-
rą sobie tylko wyobrażano.

Podkreśliłam, że tak należy wykonywać tę czynność i wogóle całość pracy
drużyny opiera się głównie na jej harmonijnym działaniu. W tej chwili
macie spokój, ciszę, jesteście wyspani natomiast w boju znajdziecie się
w zupełnie odmiennych warunkach - wyobraźcie sobie huk dział i innych
rodzaji broni naszej i nieprzyjacielskiej a wy otrzymacie zadanie popie-
rania naszej piechoty i dlatego uczy się was i zaprawia do szybkiego,
przy tym dokładnego działania. Niejednokrotnie, przy zastosowaniu bieg-
łego ognia - zagłuszy was huk z własnych moździerzy a tym bardziej z
dziewięciu - całej baterii, wtedy nie usłyszycie własnych głosów a jedy-
nie zgodną współpracą pozwoli na porozumienie się bez słów.

5/11/19

Uśmiełam się w myśli, gdy po zajęciach jeden z nich powiedział: pani chorąża wiedziała kogo zapytać, żaden z nas nie domyśliłby się, kogo i co pytać poza tym paru z nich zaznaczyło, że będą więcej przykładać się do ćwiczeń, bo jak się okazało - nie wszystko wiedzą. Wtedy przyznali rację, że dowódcy wiedzą co robią i trzeba w dalszym ciągu się szkolić, i lepiej opanowywać władanie swoją bronią. Pierwszy z egzaminowanych żołnierzy powiedział, że już teraz będzie pamiętał napewno, jak usuwa się pocisk z lufy. Na zakończenie dodałam, że jeżeli któryś czegoś nie rozumie winien się pytać sam, bez żadnego skrupowania, to jest dla waszego dobra.

Bardzo często zwracałam im uwagę - na zwrot pani, wszystkich dowódców tytułowano poprawnie "przez obywatel" lecz niestety nauczyć ich nie mogłam, w końcu zaprzestałam mając na względzie ważniejsze zadanie, nadmieniałam tylko szeby chociaż, przy dowódcach pamiętali i tytułowali "obywatelko" ale w tym przypadku też zawadzili.

Następnym razem na zajęciach taktycznych wprowadziłam częste zmiany pozycji ogniowych w celu sprawniejszego i szybszego opanowania w ustawianiu moździerzy, do ponownego otwarcia ognia - powierzając prowadzenie zastępcy mojemu, niestety nazwiska nie pamiętam /drużynowy i zastępca byli w stopniu kaprała/. Nieszło tak sprawnie, ale dość dobrze, ja ograniczyłam się jedynie do udzielania wyjaśnień, czy też poprawek.

Na przerwie żołnierze powiedzieli - pani chorąży prosimy o prowadzenie z nami taktyki, my tak lubimy, odpowiedziałam aby przestali schlebiać, zastępca mój musi się uczyć i w wypadku mojej śmierci, czy zranienia zastąpi mnie tak samo, jak drużyna prócz wyznaczonych funkcji - wciągacie się w inne szeby w razie wypadku zastąpić nap. ładowniczych, czy amunicyjnych.

Pewnego popołudnia wyszłam na zajęcia - najprawdopodobniej odbywała się musztra, w niedługim czasie przybiegł goniec z rozkazem dow.kompanii abyśmy przybyła na miejsce postoju /namioty w małym lasku/, natychmiast wróciłam.

Dowódca kompanii zlecił mi abym poszła z kompanią określając, że tam na łakach odbędzie się defilada, poprowadźcie kompanię, poduczcie na miejscu, no już wiecie a ja z Wellnerem i Artiomienką przybędę później, zapytałam gdzie są pozostałe plutony i chciałam ażeby por. Tuszyński bliżej określił, gdzie mam pójść z tą kompanią, lecz dowódca odpowiedział, że na trasie zorientuję się - zobaczę innych dowódców prowadzących swoje pododdziały a dwa plutony wróciły z ćwiczeń i przygotowują się.

Przygotowałam również swój, sprawdziłam wygląd całej kompanii i poprowadziłam ją. Żołnierze zadowoleni byli, że idą ze mną, pytali tylko, czy na miejsce przyjdzie dowódca - dawałam wymijające odpowiedzi, znałam ich myśli obawiali się, że na defiladzie por. Tuszyńskiemu znów komenda wykończą - wyjdzie pod prawą nogę i wszystko popsuje, tak już bywało.

Przez drogę wynoszącą około 3-ch kilometrów - śpiewali ładne wojskowe piosenki : "Szumi dokoła las" "Serce w plecaku" "Przyszedł nam rozkaz" i inne.

Na miejscu kilka razy przeprowadziłam kompanię - ślicznie defilowali, dow. pułku płk. Potapowicz - pochwalił, w niedługim czasie por. Tuszyński przybył z kolegami, żołnierzom miny zruedły i rzeczywiście tak było, jak przypuszczaliśmy, na właściwej defiladzie podał złe komendę i wyszła t.zw. "szatkowina" aż nerwowo płk. Potapowicz nie wytrzymał i krzyknął z trybuny, pamiętam jego słowa "chor. Wulf źle idzie wasza kompani Zdenerwowałam się, żołnierzom popsuly się humory, przeżywali bardzo, ja nie mniej od nich.

Na drugi dzień wyszliśmy razem na zajęcia, żołnierzom rozplatały się języki. mówili! dlaczego dow. kompanii prowadzi, jeżeli nie umie podawać komendy, byłoby dobrze aby zawsze prowadziła pani chorąża, lub chor. Wellner, my z całego pułku najlepiej chodzimy a por. Tuszyński nam wszystko knoci, nie mogłam ich uspokoić, koledzy śmiali się i dowcipkowali, tłumaczyłam, że taki jest porządek - dowódcy prowadzą swoje kompanie, na drugi raz będzie lepiej, ale bez skutku w końcu zwróciłam się do ko-

Artiomienko

aby zajął się naszymi plutonami - zgodził się powiedzieć, że wszystkie powóczy a ja z kol. Wallnerem radziłem, jak zrobić na przyszły raz aby to się już nie powtórzyło.

Uradziliśmy wspólnie, że dowódca podą komendę wcześniej niż należy, żołnierze usłyszą i przygotowują się do kroku defiladowego a my zapoczątkujemy właściwie, to samo zrobi pierwsza czwórka później następne i tak systematycznie wyrówna się całość, nie będzie trwało długo, gdyż nasza kompania nie jest tak liczna i przed trybuną żołnierze przejdą już dobrze. Na następnej defiladzie, która odbyła się w dniu 10 września na polach folwarku Wygoda w okolicach Lublina w związku z uroczystą przysięgą żołnierzy IV-tej Dywizji Im. Jana Kilińskiego, na którą przybyli dostojeńcy państwowi i wojskowi - nasza kompania pięknie przedefilowała.

Za parę dni opuściliśmy rejon Krasienica pod Lublinem i udaliśmy się w kierunku Warszawy, maszerowaliśmy przez Puławy, Ostrożeń, Lubice, Wower. Te odcinki trasy w większości przechodziliśmy nocą. Zakazano palenia papierosów, nie dziwnego otrzymywaliśmy tytoń grubo krojony, który zawijano nie w bihułkę, lecz w gazetę, przy zapaleniu takiego papierosa musiał być duży ogień, który z dużej odległości był widoczny, więc surowo przestrzegaliśmy rozkazu, nawet oficerowie naszej kompanii innym pododdziałom zwracali uwagę wyjaśniając, że płk. Potapowicz wydał zakaz palenia, nie dla udręczenia żołnierzy, lecz kierował się koniecznością blisko biegnącej linii frontu, to jest dla bezpieczeństwa nas wszystkich. Na trzeci, czy czwarty dzień zatrzymaliśmy się w Aninie, nocą udaliśmy się na Pragę, tu spotkaliśmy się z silnym ogniem, pamiętam jak obok nas padły 3 pociski artyleryjskie, które na szczęście nie eksplodowały. Nad ranem dotarliśmy do budynku szkolnego, następnie zeszliśmy do sutereny, gdzie rozlokowaliśmy się na parę dni, przez ten czas zatrudniony

był tylko z kompanii moździerzny kol. Wallner, który rejestrował Polaków zgłaszających się w szeregi ludowego wojska, po zakończeniu jego godzin urzędowania przychodziliśmy z por. Tuszyńskim pytając ilu ich przyjął, żartowaliśmy czy by po protekcji nie udało się skierować kilku do naszej kompanii, bo wie o tym, że moździerzystów nie można w szybkim czasie wyszkolić o rezerwę pewną już mielibyśmy.

Następnie przeszliśmy do Anina na kilka dni. Te ostatnie marsze przebywałam z wielkim trudem i samozaparciem, moje ostatnie pończochy doszczętnie podarły się na stopach w związku z czym mocno uwierały. Nie było mowy abym skontaktowała się z kwatermistrzostwem, już w okolicach Lublina w ostatnim okresie z braku czasu nie mogłam dotrzeć. Znalazłam się w przykłej sytuacji, ale moi żołnierze zaczęli pytać, co mnie gnębi - powiedziałam im prawdę, oni zapewnili mnie, że pończochy dla mnie zdobędą. Domyśliłam się oczywiście w jaki sposób, w pierwszej chwili nie mogłam pogodzić się z tym, że moi żołnierze będą szabrować, lecz nie mając innego wyjścia zdecydowałam się.

Wybrałam odpowiednią chwilę i wysłałam dwóch żołnierzy, po godzinie wrócili składając relację, że prawie we wszystkich mieszkaniach są domownicy a tam gdzie ich niema szkoda szukać. Za parę godzin porozmawiałam z moim ordynansem Stasiem Pałaczyńskim i celowniczym Żołyńskim /brat Julia: polit.-wychow./ byli sprytni, grzeczni, wiedziałam że we właściwy sposób załatwią- niezrażając przy tym mieszkańców. Po jakimś czasie przynieśli dwie pary pończoch w ładnym kolorze, ogromnie się ucieszyłam dziękując im za oddaną przysługę. Z detalami opowiedzieli, że przyszli jakoby napić się wody, panie zaproponowały herbaty okazało się jednak, że woda była zimna i należało ją podgrzać, wobec czego podziękowali, że nie mogą wiele czasu tracić ponieważ obowiązki w wojsku nie pozwalają na to. Na zapytanie jednej z pań, czy dobrze jest w wojsku, odpowiedzieli że tak zaznaczając, że mają dowódcę - kobietę a widząc zainteresowanie ich, zaczęli szeroko się rozwódzi

XX

na mój

temat i wykorzystując odpowiedni moment wspomnieliśmy o pułkach, wtedy jedna wyszła do drugiego pokoju, w tym czasie z drugą zaczęli się powoli żegnać przepraszając, że zasiedzieli się, wtedy pierwsza wyszła z paczuszką wręczając powiedziała, to jest dla waszego dowódcy - chciałybyśmy bardzo poznać ją, podziękowali - dodając, że zakomunikują mi o tym przy tym nadmienili że nie wiadomo czy czas pozwoli na poznanie, takie jest frontowe życie - dziś tu a jutro tam. Pochwaliłam ich - załatwili elegancko.

Z kolei opuściliśmy Anin przechodząc do trzymania obrony nad Wisłą w okolicy Wólki Zerzeńskiej, gdzie rozmieszczony został 1-szy batalion, nasze moździerze zajęły ogniowe stanowiska w tyle za wałem - rozlokowując się w ogrodzie. W początkach mieliśmy wiele pracy a mianowicie budowano ziemianki dla dowódców plutonów i plutonów, dla dow. kompanii jedną, przy stanowiskach a drugą na punkcie obserwacyjnym w wałe, ziemiankę na skrzynki z amunicją, stanowiska ogniowe i drugie zapasowe dla moździerzy i rowy łącznikowe z tego 2 ziemianki były, lecz je tylko odrestaurowano. Z wyszczególnionych, że tak określe inwestycji por. Tuszyński wyznaczył najwięcej do wykonania mojemu plutonowi. W dodatku pomagaliśmy piechocie kopać rowy i transeje, miała ona wiele roboty, ponieważ w tej okolicy od Wisły do wału obronnego była przestrzeń duża, tu kopano nocą. Do tych prac dow. kompanii przydzielał mnie, a ja stawiałam warunek wyboru żołnierzy z całej kompanii, por. Tuszyński nie lubił gdy upominałam się o swój pluton, na tym punkcie zawsze bywały sprzeczki, lecz ja nie ustępowałam uważając taki podział za sprawiedliwy mając na względzie ich wytężoną pracę w czasie dnia.

Koleżanką chor. Emilia Gierczak posiadała już swój pluton fizylierów i w tym czasie prócz innych pododdziałów - miała zadanie ochrony stanowiska dowodzenia dow. pułku w Radości.

Okres przebywania w Warszawie i w obronie nad Wisłą mogę zaliczyć do najtrudniejszych, spadały na mnie same niepowodzenia, xxx dowódca kom-

I/1/24

pani zmienił się bardzo w stosunku do mojej osoby, stał się nieufnym, podejrzliwym - dążył do utrudniania mi życia niemal na każdym kroku. Zastanawiałam się czyim wpływom ulega z gruntu nie był złym człowiekiem. Pewnego dnia jeden z kolegów powiedział mi w sekrecie, że dow.komp. wytypował mojego ordynansa czyli łącznika Stan. Pałaczyńskiego - na listę kandydatów do szkoły oficerskiej, wniosek został osobiście doręczony Szefowi sztabu batalionu /mieścił się w pobliżu/ zatwierdzenie może przyjść na dniach a może już jest. Sprawa została przesadzona w dodatku bez porozumienia się ze mną. Zagadkę kto nastawia w ten sposób dowódcę do mnie - odkryłam, lecz tylko w myślach zapytywałam dlaczego.

Dowódcy batalionu kpt. Lubeckiego nie było, z kolei obowiązki jego przejął kpt. Aleksandrow - kochany człowiek i zdolny dowódca, lecz zginął na ćwiczeniach w okolicach Lublina. Nowego dowódcy bronu mjr-a Wnukowskiego nie znałam a pisanie raportu nie miałooby najmniejszego sensu - nie dotarł by we właściwe ręce, natomiast na szukanie dow.batalionu czasu nie miałam tak jak nim dysponował por. Tuszyński.

W tym okresie brakowało przede wszystkim oficera polit.-wychow., przy tym człowieka na poziomie, energicznego, który nie w jednym przypadku byłby doradcą i regulował niektóre pociągnięcia dowódcy kompanii, my byliśmy tylko dowódcami plutonów, dużą winę w tym względzie przypisywałam sobie dochodząc do wniosku, że niepotrzebnie prowadziłam pogadanki polityczne wśród żołnierzy całej kompanii, gdybym nie udzielała się, wtedy przysłano by oficera polit.-wychow., podoficer nie wystarczał, być może że w tym czasie kpr. Żołyński był na krótkim przeszkoleniu politycznym.

Wiadomość tę, jak i rozstanie przeżyłam, Pałaczyński był zdolny sprytny, chętny do każdej pracy i bardzo miły, najmłodszy ze wszystkich nazywano go dzieciakiem, prócz drobnych usług wykonywanych dla mnie - opanował dobrze dwie funkcje, przy obsłudze moździerza :ładowniczego i amunicyjnego, nawet nosiłam się z zamiarem przeniesienia na dow.drużyny-

14/25

- nie było obsadzone, lecz później zaniechałam biorąc pod uwagę młody wiek i uważałam, że bez jednego dew. drużyny - mogę się obyć, główny nacisk kładłam na : celowniczych, ładowniczych i amunicyjnych.

Miałam dwóch drużynowych w tym jeden był moim zastępcą. Celowniczych wyszkoliłam na super - nazywałam ich oczkami plutonu. Ładowniczych również miałam dobrze wyszkolonych, przy tym poduczałam ich na zastępstwo celowniczych. Amunicyjnych częściowo na ile to było możliwe zapoznawałam z czynnościami ładowniczych. Dwóch żołnierzy, którzy podnosili miny, jedynie mogłam ich używać do tej czynności - bardzo słabo orientowali się w innych. Z chwilą odejścia Pałaczyńskiego - pozostało prawdopodobnie 18-tu żołnierzy, minimalną rezerwę stanowili dwaj woźnicy nazwisko Machi: będę operować wzrostem, ponieważ imion nie pamiętam.

Najwyższy z nich został oddany do taboru. Średni wzrostem okazał się zdolnym - wykonywał dobrze obowiązki ładowniczego i amunicyjnego, jego za wszelką cenę postanowiłam do taboru nie oddawać. Najniższy wzrostem raczej nadawał się do podnoszenia pocisków, kilka razy musiałam kierować go, do pracy przy koniach.

Pewnego dnia dowódca oznajmił mi, że moździerze nasze dokonają przestrzelenia za Wisłę, na pozycje nieprzyjacielskie, żołnierze przejęli z zadowoleniem, przygotowano wszystko i zaczęliśmy bić według oczywiście danych, które podano - obserwując ich widziałam z jakim zacięciem czynili, za chwilę pocisk wrzucony do lufy niewyleciał, wówczas skupiłam uwagę na ładowniczym - zorientował się i pięknie usunął go z lufy, za moment to samo powtórzyło się w drugiej drużynie, nawet raz po razie pamiętam dobrze, też doskonale uporano się z nim i w zasadzie cały pluton, gdyż trzecia drużyna przyglądała się, zapoznał się praktycznie z wyjmowaniem pocisku z lufy. Żołnierze nie mogli sobie tylko darować, że za mało pocisków wypuścili na wroga. Ja odwrotnie w tym przypadku i w takich okolicznościach - byłam zadowolona.

511/26

Nasi żołnierze nie będąc na przedniej linii jednak zetknęli się z nieprzyjacielskim ogniem artyleryjskim z lewej strony stanowisk była kilku, czy kilku-nasto-metrowa zupełnie odkryta przestrzeń, którą pilnie obserwowano i przy lepszej widoczności wróg wykorzystywał - ostrzeliwując nas. Mimo częstych uwag z naszej strony, żołnierze nie zawsze przechodzili rowami a nieraz zapominali się i swobodniej poruszano się na zagrożonym odcinku. Pewnego popołudnia, przy pięknej pogodzie czyścili moździerze, okazało się, że za mało wzięli pakuł i któryś z moich żołnierzy ~~wsk~~ udał się po nie do ziemianki, został natychmiast zauważony i za moment w pobliżu wybuchły nieprzyjacielskie pociski. Odłamki nie raniły nikogo, lecz od tej pory zachowywali się bardzo ostrożnie i zapamiętali sobie, że rowy są po to, aby je wykorzystywać.

W tejże obronie kompania moździerzy otrzymywała suchy prowiant i sama organizowała i przygotowywała posiłki, najczęściej smażyliśmy placki kartoflane, po tak smacznym obiedzie delektowaliśmy się papierosami z marchorki, ja niestety nie nauczyłam się skręcać, posługiwałam się zawsze kolegami lub żołnierzami, przy tym zaznaczałam, że tej sztuki nie opanuję, to jest bardzo skomplikowane. Swój przydział oddawałam któremuś z moich żołnierzy a mnie w całej kompanii częstowaną, gdy zbrakło chwilo-wo tytoniu, wówczas wyjmowano mój zapas i dzielono się nim.

Następnie przeszliśmy na odpoczynek do Grochowa mieszkaliśmy w budynku, przy ul. Domejki, później zakwaterowano nas, przy ul. Żółkiewskiego, przypominam sobie, jak żołnierze chętnie pomagali ludności ~~cyk~~ cywilnej w ~~więk~~ cięższych pracach.

Na odpoczynku ćwiczone nadal kompanię, do tej pory taktyka odbywała się na równinach, przy lekkich wzniesieniach, lub w lesie, tu poznali inny jej charakter bo w zaludnionym punkcie, której musielib się nauczyć.

Pewnego dnia dowódca kompanii zapytał mnie : dlaczego nie przysyłam do niego raportów o ukaranie żołnierzy odpowiedziałam, że do tej pory nie-zachodziła potrzeba, mniejsze przewinienia reguluję wewnętrznie, tak

uwążam za stosowne.

W międzyczasie wydał^{mo} rozkaz aby wszyscy oficerowie poddali się szczenienu, nie przypominam sobie, jakie to były zastrzyki, ja zwlekałam z tym, ale Szef sztabu batalionu mnie nie przeoczył, wezwał i zapytał: podporucznika /otrzymałam stopień, nie pamiętam kiedy mi nadano/, czy wiecie o tym rozkazie a na moje zapewnienie że wiem, spytał znów dlaczego do tej pory niespełniłam i wziął do ręki kartkę papieru, napewno był to raport odnośnie udzielenia kary, ale wybrnęłam odpowiadając: obywatelu kapitanie, że jestem oficerem, to wy o tym wiecie i moje nazwisko utkwiało wam mocno w pamięci, lecz nie zapominajcie, że jestem kobietą i nie mogę rozbierać się, przy męszczyznach dodając, że są duże kolejki, widziałam że był zaskoczony - powiedział tylko aa i przeprosząc wydając jednocześnie polecenie wzięcia zastrzyku w terminie 3-ch dni. Szef sztabu tym razem poniósł klęskę a raport o ukaraniu mnie zmuszony był wrzucić do kosza - zrobił to napewno z wielką przykrością.

Po wyjściu ze sztabu udałam się bezpośrednio do moich przyjaciółek siostry Oli i lekarz Kiry zwierając się częściowo ze swoich kłopotów, one pomogły mi i wzięłam zastrzyk, za ich wstawiennictwem otrzymałam nawet małą dawkę. Następnie odwiedziłam ppor. Emilię Gierczak w tym czasie kompania fizyliarów również była na odpoczynku na Grochowie, byłam pewną, że od dow.komp. nie będę miała przykrości, gdyż nie uda się obliczyć, kiedy powinnam wrócić do naszego zakwaterowania, wykorzystując okazję, pozwoliłam sobie na dłuższe posiedzenia u swoich koleżanek.

W końcowych dniach października przeszliśmy po raz drugi do trzymania obrony nad Wisłą, drugi i trzeci pluton wraz z dowódcą kompanii zajął odcinek Grochowa, natomiast pierwszy rejon Gocławia. W tym czasie dokonano wielu wypadów po języka na drugi brzeg Wisły, co wspierano ogniem z moździerzy w tym brał udział 1-szy pluton. Naszym z uwagi na niedogodne pozycje ogniowe, które natychmiast mogły być

5/1/28

zlikwidowane przez nieprzyjaciela ujawniać się ogniem z moździerzy nie-
pozwolono.

Jedną z wypraw z Wisłą nabrała wielkiego rozgłosu w lo-tym pułku, gdyż
brak w niej udział miejscowy rybak Obyw. Karas Bolesław, który znając
dobrze teren, przewiózł grupę zwiadowców na przeciwległy brzeg, wyprawa
udała się. Przez kilka dni wśród żołnierzy słyszało się tylko rozmowę
na temat Obyw. Karasia, przy tym niezapominał jeden drugiemu zakomuni-
kować, że złapany jeniec wystraszył się siwej brody rybaka.

Następnie po raz drugi przeszliśmy na odpoczynek, nawet roz-
lokowani byliśmy w tym domu, co poprzednio, przy ul. Żółkiewskiego.
Pamiętam była niedziela - żołnierze czyścili broń, po jakimś czasie spr-
wdziłam była idealnie czysta, nawet pomyślałam, że tak utrzymanej broni
nie ma napewno żaden pododdział, nie tylko w batalionie ale w całym pułku
niedopinguwałam żołnierzy, lecz oni sami przykładali się z największą
ochotą i bardzo starannie wykonywali wszystko, wiedzieli że por. Tuszy-
ński ciągle szuka czegoś w plutonie, wyczuwałam nawet, że tak robią dla
mnie chcąc uchronić od wszelkich przykrości, ze strony dowódcy kompanii.
Za chwilę skontrolował por. Tuszyński i rzucił, że broń jest brudna,
już nerwowo nie wytrzymałam, wychodząc za nim postanowiłam raz z tym
skończyć powiedziałam, że to nie jest metoda wychowawcza, przez wasze
absurdalne nieroz rozkazy - podrywanie autorytetu sobie, takim postępo-
waniem żołnierzy nie zjednocie, od nich należy wymagać, ale i dać odpo-
czynek tym bardziej, jeżeli sobie na to zasłużyli. W tej chwili powin-
niśmy iść do dow.bat.mjr-a Wnukowskiego, który zająłby odpowiednie sta-
nowisko w tej sprawie i osądził, kto z nas ma rację, gdy zorientowałam
się, że dowódca nie pójdzie ze mną próbowałam przemówić mu do rozsądku-
- bolało mnie, że za wkład pracy, którą wykonywałam z wielką ofiarnoś-
cią i zamiłowaniem, mam zapłatę w postaci nieufności, szykan i podstęp-
pów ze strony dowódcy powiedziałam wówczas, że współpraca musi ulec
poprawie, to jest zależne tylko od was samych, atmosfera winna xxxxxx

się uzdrowić, to jest jaknajbardziej wskazane, gdyż obecna nie wpływa budująco na żołnierzy, jeżeli to nie nastąpi będę zmuszona pożegnać was, pamiętajcie, że dowództwo batalionu i pułku jest w pobliżu, tym razem znajdę chwilę czasu i pofatyguję się.

Dowódca kompanii po dłuższej chwili przyznał, że postępował niewłaściwie popełniając błędy, które nie powtórzą się, prosząc abym tylko niechodziła do dowództwa. Por. Tuszyński dotrzymał słowa zmieniając się na korzyść

Z kolei przeszliśmy do trzymania obrony na Saskiej Kępie, stąd parę razy ostrzeliwaliśmy pozycje nieprzyjacielskie oczywiście przechodząc na zapasowe stanowiska ogniowe, dla zmylenia orientacji wroga aby nie wykrył nas. Pewnego dnia dowódca kompanii oznajmił nam, że dziś wieczór będziemy prowadzić z moździerzy ogień, na większą skalę niż dotychczas, sam dowódca Dywizji gen. Kieniewicz będzie kierował jakąś akcją. Żołnierze przyjęli tę nowinę z wielką radością pamiętam z jaką dokładnością przygotowywano się do niej, każdy chciał wypaść dobrze, być może, że nie jednemu wydawało się, że dowódca dywizji dotrze do nich i zobaczy, jak działają. Muszę dodać że nasi żołnierze wobec dowódców pułku, czy nawet dywizji nie odczuwali jakiegoś lęku, czy zażenowania, lecz przeciwnie czuli się swobodnie, ale szanowano i ceniono ich ^{bardzo} jednocześnie darzono wielką sympatią. Przy strzelaniu działali z zadziwiająco szybkością i dokładnością ciesząc się, że mają okazję wyładowania min na nieprzyjaciela. Jak dowiedzieliśmy się później w dniu tym przeprowadziły się na drugi brzeg liczne grupy żołnierzy w różnych odcinkach a gen Kieniewicz prowadził akcję w 10-tym pułku, lecz nie na naszym terenie. Czy popieraliśmy swoim ogniem żołnierzy przeprowadzających się na przeciwległy brzeg Wisły, czy tylko biliśmy po obronie nieprzyjacielskiej celem rozprószenia uwagi wroga trudno jest mi powiedzieć po tylu latach, jaką faktycznie spełnialiśmy rolę w dniu 21 grudnia.

Na parę dni ściągnięto naszą kompanię z obrony w celu uczestniczenia w dniu 26 grudnia w uroczystym wręczeniu sztandaru bojowego ufundowanego, przez mieszkańców Pragi, dla 10-go pułku. W uroczystości wziął udział Dowódca Armii gen. Korczyński - wręczając go Dow. IV-tej Dyw. gen. Kieniewiczowi powiedział: rozkazuję byście ponieśli ten sztandar przez cały kraj nad Odrę, aż do ostatecznego zwycięstwa. Następnie przemawiali gen. Kieniewicz i Dow. pułku płk. Potapowicz - zapewnił on i imieniu żołnierzy, że swego sztandaru będą bronić do ostatniej kropli krwi.

Żołnierze długo pamiętali słowa dow. pułku i często je powtarzali, wryły się im głęboko w sercu, nieraz jeden do drugiego mówił: pamiętaj bracie płk. Potapowicz między innymi zaufał i nam, w imieniu nas wszystkich zapewnił wytrwałą walkę, lepiej z honorem zginąć niżeli stracić jego zaufanie.

W nocy z 6 na 7 stycznia pożegnaliśmy Saską Kępe, zmieniła nas kompania 16-go pułku a nasz 10-ty udał się do rejonu Kącka następnie przeszedł do Łasek, gdzie zatrzymaliśmy się kilka dni.

W dniu 14 stycznia 45r. usłyszeliśmy salwy armatnie - zaczęto ofensywę wkrótce dowiedzieliśmy się, że wojska 61 armii radz. prowadzą walki na przyczółku warecko-magnuszewskim i złamały opór wroga zdobywając już Górę Kalwarię, Grójec i inne miejscowości.

W dniu 16 stycznia wieczorem 10-ty pułk wyruszył z rejonu Łasek, maszerowaliśmy w zwolnionym tempie z uwagi na zasypane śniegiem drogi, pamiętam szliśmy za furmankami ciągnącymi nasze moździerze - ja dosłownie spałam, czegoś podobnego nie odczuwałam nigdy na marszu, gdybym nie odczuła na sobie, niewierzyłabym że można iść i jednocześnie spać. W chwilach świadomości myślałam "ładnie to będzie wyglądało na froncie". Po drodze robiliśmy chwilowe odpoczynki, grupy żołnierzy wpadały do nas

jbliżej stojących domów aby się rozgrzać. Pamiętam myśmy też skorzystali ludzie witali nas serdecznie - poili gorącym płynem i całą uwagę później skupili na mnie zasypując pytaniami z początku odpowiadałam, ale gdy usiadłam usnęłam. Gospodyni ugotowała dla mnie zacierek z mlekiem - żal jej było obudzić mnie, gdy koledzy powiedzieli, że maszerujemy dalej - z miejsca zerwałam się i dziękując za wszystko - wyszłam, nie miałam już czasu zjeść.

Wreszcie dobrnęliśmy do Wisły przechodząc ją po lodzie w pobliżu Góry Kalwarii w tym samym czasie artyleria nasza i tabor przepравиły się po moście zbudowanym, przez radzieckich saperów.

Szliśmy dalej omijając Warszawę, przez Jeziornę, Wilanów, Ożarów do Moszna, droga zatarasowana była wojskami i taborami. Żołnierze zorientowawszy się, że od Warszawy oddalają się pytali "dlaczego do niej nie idą" trzymając paru-miesięczną obronę prawobrzeżnej Warszawy uzurpowali sobie prawo, do stoczenia walk o stolicę; W dodatku różnych wieści dowiadywano się na marszu, jedni mówili że o Warszawę toczą się walki drudzy, że Warszawa jest wolnym miastem od wroga, o czym dowiedzieliśmy się na zakwaterowaniu w Biskupicach, od z-cy dow. pułku polit.-wychow. kpt. Konińskiego. Następnie udaliśmy się przez Moszna, Błonie omijając Sochaczew - zatrzymując się po drodze na noclegi. Później przeszliśmy Wiśniewo dalej z uwagi na zatłoczoną szosę główną udaliśmy się bocznymi trasami, przez Wiekowice zatrzymując się we wsiach Poniatowo, Kujawka. Ostatni etap drogi wykonywano znów z wielkim wysiłkiem z uwagi na duże opady śniegu, przy tym był mroźny wiatr, żołnierze zmarzli niektórzy z nich nadmrozili twarze, wobec czego nacierano śniegiem, mnie też nacierano ręce i twarz powiedziałam, że zimno dokucza a nieprzyjaciel ucieka jak na złość, gdyby stoczyło się jakiś bój, to wówczas xixbyłoby nie ciepło ale napewno gorąco, żołnierzom humory się poprawiły a ja byłam zadowolona, że ta śpiączka oddaliła się w dodatku już bezpowrotnie.

W dniu 28 stycznia w godzinach przedpołudniowych dotarliśmy do Bydgoszczy, lecz tam nie zatrzymaliśmy się udając się dalej w dniu 30 stycznia przekroczyliśmy granicę polsko-niemiecką z 1939r., droga prowadziła nam przez lasy na zachód od Więcborka, tu zwiększono czujność i przeszukiwano lasy w których znajdowały się rozbite grupy nieprzyjacielskie.

Nasz pułk zapoczątkował walki w pasie przesłaniania też zwanego "Wału Pomorskiego", o miejscowości: Ptuszą, Byszki ~~ixixix~~ Jastrowie i częściowo Dobrzycę - stoczył boje 1-szy batalion mjr-a Wnukowskiego.

Nie utkwily mi w pamięci te boje, przez trzydzieści kilka godzin byliśmy w bezustannych walkach. Piechotę przetrucano w różne odcinki, zdobywała niektóre rubieże i po jakimś czasie cofała się niżej, wówczas z nowymi siłami przychodził inny batalion a nasz chwilowo odpoczął, lub przechodził na inną rubież. Nasze moździerze wiele razy zmieniły stanowiska ogniowe celem wsparcia ataku piechoty. Wojsko hitlerowskie stawiało opór przechodząc do kontrataków walczyły z wielką zaciekłością. Już pod Ptuszą kompanie strzeleckie poniosły duże straty, wielu zostało zabitych i rannych. Pod Jastrowiem zginęło 4-rech żołnierzy z kompanii moździerzy w tym szer. Mołodecki z mojego plutonu, co na naszą kompanię jest dość dużą stratą. Żołnierze nie spali i nie jedli, przez okres tych walk, ale to nie było straszne, nawet się o tym nie pamiętało, gorzej było gdy zabrakło nam min i nie mogliśmy wspierać natarcia piechoty. Muszę dodać że walki o tyle były cięższe, że nie popierano nas artylerią, gdyż działa i tabor, przez zasypanie pozostały w tyle.

W niektórych momentach moździerzyści przeistaczali się w strzelców, to była sytuacja nie do pozazdroszczenia, gdyż należało ochraniać moździerze przed wrogiem z niewielką ilością broni palnej wiadomym jest, że wszystkim żołnierzom w kompanii moździerzy karabinów nie przydzielano. Zabrakło nawet kul karabinowych. Pamiętam gdy wyszliśmy z tych walk, że den po drodze spotkany nabój na ziemi nie pozostał, lecz natychmiast znalazł się w kieszeni u któregoś z żołnierzy.

Z kolei pomaszzerowaliśmy dalej wkraczając już na Wał Pomorski, najpierw nasz pułk już mniejszy liczebnie szedł lasami, później wyszliśmy na teren bardziej odkryty, nieprzypominam sobie najbliższej nazwy miejscowości, lecz utkwił mi w pamięci teren na którym rozegrała się krótka walka. Następnie bataliony zajmowały swoje odcinki obrony - przechodząc na poszczególne wyżej położone polany otoczone wokół drzewami i zaroślami. Między polanami rozciągały się bagniste ~~tereny~~ niziny, przez które to furmanki posuwały się z wielką trudnością. Przypominam sobie, jak dowódca 76 mm działek pułkowych mjr. Podorożny organizował przeprawę, nie tylko działek, lecz całego taboru, przez ten rozmokły grunt a później wspinanie się koni na wysokie wzgórze.

My również zajęliśmy polanę, gdzie z lewej strony oraz z tyłu zabezpieczając od wroga wysoki i spadzisty, przy tym mocno zaodrzewiony brzeg w pobliżu ustawiliśmy swoje moździerze, niedaleko nas były dwa c.k.m.-y. Z przodu i od strony prawej polana miała lekki spadek i mniej zaodrzewioną, gdzie na skraju linii obronną zajęły kompanie strzeleckie wzmocnione ciężkimi karabinami maszynowymi i rusznicami przeciwpancernymi, za nami rozlokowano furmanki naszego pułku.

Wzmocniono czujność, kategorycznie zabroniono spać z uwagi na niedalekie sąsiedztwo nieprzyjaciela, który w każdej chwili mógł zaatakować. Moździerzyści nabierali chrustu i suchych gałązek, rozścielono na nich pałatki i grupy żołnierzy odpoczywały na nich okrywając się pelerynami, było przejmujące zimno i mżył drobny deszczyk. Z wieczorą przechodziłem od jednych do drugich zwracając uwagę czy nie śpią, rozmawiali na różne tematy. Później usiadłem obok paru z mego plutonu, gdyż zainteresowało mnie opowiadanie o zwyczajach i obyczajach przyjętych w ich miejscowości w okresie świąt Bożego Narodzenia. Z kolei podzieliłem się, jakie panują we lwowskim nadmienając, że zawsze w drugi dzień świąt z kilkoma kolegami i tylko jedną koleżanką - była odważną chodziliśmy po

miasteczku w dziwacznych charakterystykach i strojach usiłując złożyć wizytę znajomym, ile było przy tym radości i uciechy, jeżeli udało się nam wtargnąć do jakiegoś mieszkania w dodatku domownicy nie poznali nas. Żołnierze śmiali się, później mówiono o innych obyczajach i sen daleko odleciał, do nas dosiedli się inni wreszcie któryś zaczął opowiadać, jak odbywają się u nich tak zwane "oczepiny panny młodej", ale już nie dowiedzieliśmy się, bo w tym momencie usłyszeliśmy strzały, później wzmożyły się i wyraźnie od strony lewej zbliżały się w naszym kierunku. Przypomnieliśmy sobie, że karna kompania przydzielona w tym czasie do dyspozycji naszego dow. batalionu mjr-a Wnukowskiego, miała nacierać na bunkry niemieckie oddalone od naszego wzgórza o jakieś ~~2x2x2x~~ 2,5 km.

Mój pluton poderwał się na nogi, zaczęliśmy ustawiać moździerze zmieniając kierunek ostrzału, za moim przykładem poszły pozostałe, tu już wydawał rozkazy dowódca kompanii i kol. Artiomienko.

✓ W tej chwili przybiegł ppor. Wallner i krótko zakomunikował, że jego pluton karnej kompanii /tam został przydzielony na dow. plutonu/ zaatakował bunkry ~~niemieckie~~ nieprzyjacielskie, natarcie nie udało się, gdyż jego żołnierze rozpiechli się na wszystkie strony i w tej chwili silnie uzbrojone grupy S.S. - idą na nas. Piechota nasza uległa panice, zaczęli opuszczać przedni skraj obrony i zbliżali się do nas, nie mogliśmy się nimi zająć, to były ostatnie decydujące minuty, otworzyliśmy ogień z moździerzy kierując go na przestrzeń w lewo, gdzie nacierali Niemcy pamiętam, że mój pluton zapoczątkował pierwszy. Pociski naszych moździerzy nie odstraszyły hitlerowców, lecz z większą zawziętością zbliżali się. Za chwilę wokół nas zgrupowała się piechota i żołnierze z rusznic przeciwpancernych oraz ich dowódcy, którzy obserwowali zza drzew w jakim tempie zbliżali się Niemcy nie zważając na rozrywające się miny, padli ranni, już było widno. Prażyliśmy pociskami na ile tylko mogliśmy się zdobyć, na przednim skraju obrony zaterkotały 2 ekm-y wysunięte na

prawe skrzydło, lecz S.S. nie szli, lecz biegli, za chwilę ukazali się już na pozycjach obronnych opuszczonych przez piechotę i zaczęli okrążać w związku z czym musieliśmy poszerzyć odcinek obstrzału a przed tym zmniejszając odległość - stopniowo każdy moździerz bez przerywania ognia. Pamiętajmy w tym czasie dużą rolę odegrały ciężkie karabiny maszynowe a dowódca ich ppor. Krowiarz odsunął żołnierza od jednego c.k.m.-u zajmując sam miejsce przy nim rozkazując o szybkie podawanie taśm.

Następnie ogień z moździerzy wznowiliśmy do maksimum, nawet nie zauważyłem kiedy przybył do nas dowódca batalionu, wiem że niedaleko z lewej strony stała grupka oficerów, być może że przygotowywano jakiś atak w wypadku gdyby hitlerowcy zbliżyli się, wtedy moździerze nie miałyby już zastosowania w walce, w teorii najbliższa odległość obstrzału wynosi 70 metrów w praktyce lepiej na nią nie liczyć.

Jako widziałem moździerze i żołnierzy uwijających się przy nich pamiętam że krzyknęłam na mojego najlepszego żołnierza - celowniczego Żołyńskiego aby się trzymał, zastępcę zostawiłam przy następnych dwóch a sama przeszłam do sąsiednich z 1-go plutonu - miał dowódcę podoficera Bartkowskiego, gdyż zauważyłam, że miny wylatują nieco rzadziej i dopingowałam o szybsze działanie. W tym czasie jeden z ładowniczych może chciał odetchnąć a może ocierać pot, krzyknęłam wówczas "do cholery nie gap się a bij" na odpowiednią formę w takich chwilach nie można było sobie pozwolić, że długo wynawiało się, tu odgrywały sekundy. Później znów przeszłam do swego plutonu i przy okazji zerknęłam na prawego sąsiada ppor. Krowiarz utkwiony miał wzrok w swoją broń i c.k.m. grał, było w porządku.

Miny donoszono z najbliższej stojącego wozu, później plutony rozliczyły się. Niemcy wycofali się i zrezygnowali z dalszego ataku. Na zakończenie jedna mina z mojego moździerza zahaczyła o gałązkę na drzewie i rozprysła się, na szczęście nikt nie odniósł ran, płyta oporowa za bardzo wryła

się w ziemię na skutek dużej ilości wystrzelanych min, to było konieczne.

Moździerzami i ciężkimi karabinami maszynowymi atak hitlerowców odparto, nie mogę tylko określić ich liczby. Po walce paru oficerów, jak dowódca batalionu, dow. naszej kompanii i ja przeszliśmy obejrzeć teren, wszystkich nurtowała jedna myśl - co stało się z obsługą i c.k.m. wysuniętym najdalej na skrzydło prawe, jeden ze stojących bliżej został wycofany w porę a pierwszego nie można było już ściągnąć, po drodze różne myśli nasuwały się, gdy doszliśmy do miejsca okazało się, że żołnierze zabili a karabin maszynowy uszkodzony przez naszą minę, przykre uczucie opano-
✓ wało nas, innego wyjścia nie mieliśmy.

W godzinach popołudniowych przeszliśmy w głąb lasu i tam nas zatrzymano, potem ponownie zbieraliśmy się do wymarszu, pamiętam rozmawiałam z por.

✓ Tuszyńskim, w tym czasie podszedł mój zastępca meldując, że jeden żołnierz który podnosił miny odmówił noszenia ich w dalszym ciągu, ponowi-
łam rozkaz przez zastępcę, aby natychmiast wziął skrzynki z minami, z kolei zameldowano, że kategorycznie odmawia uzasadniając, że jest bardzo zmęczony pobiegłam natychmiast i zobaczyłam, że leżał na ziemi niereagując na moje przyjście, rozkazałam podnieść się, wstał ociągając się, na moje pytanie dlaczego odmówił rozkazu odpowiedział, że jest zmęczonym - - najstarszy wiekiem i miał prawo do tej pory wyczerpać się walkami, postanowiłam działać szybko i zdecydowanie starając się przy tym wyjeźnić aby zrozumiał, że robi źle a nie uległ obawie przed następstwami od-
działam: wiekiem nie zasłaniajcie się, jest mi wiadomym ile macie lat, są starsi lecz wy oszczędzacie się, zmęczeni są wszyscy a pieścić się będziecie po zakończeniu działań wojennych, gdy wrócicie do żony, na froncie spełnią się wszystkie rozkazy, nie tak szybko docierało do jego świadomości więc zapytałam, czy wiecie jakie są kary za odmówienie roz-
kazu? po chwili odpowiedział że wie.

W tej chwili czeka na was pluton a nawet kompania a wy zwlekacie, wo-

bec czego daje wam 1,5 minuty czasu do namysłu : albo zostajecie tu sami, lub pójdziecie ze wszystkimi i z pociskami - wybierajcie.

Spojrzał na mnie zastanowił się, podniósł skrzynki i zawstydzony ruszył do szeregu plutonu, gdzie dano mu wycisk moralny, za jego czyn.

W drodze por. Tuszyński zapytał dlaczego nie wezwałem go, do rozmowy z tym żołnierzem dodając, że sam nie chciałem się narzucać swoją osobą odpowiedziałam, że gdybym nie przekonała jego, to wówczas poprosiłabym o to was szczerem, że na przyszłość, to napewno się nie powtórzy z jego strony, jest on z natury leniwym i próbował szczęścia, czy nie uda się iść bez przydzielonego rekwizytu, to nie znaczy abym nie zwiększyła czujności. Od tej pory żołnierze będą zwracali też większą uwagę, odnoszę wrażenie, że już nieraz nacierano mu uszu za jego wysoki, lecz nie meldowano mi o tym dodając, że w początkach szkolenia zorientowałem się, że z niego V go nie wiele pożytku będzie.

Doszliśmy do małych jezior, gdzie nasz batalion, w pierwszych dniach pozostawał w obronie. Później przeszliśmy na północ od jeziora Dobre, gdzie mieliśmy zadanie niszczenia drobnych grup nieprzyjacielskich, następnie przeszliśmy do rejonu Stobnica i Dobrzyca, po zdobyciu tej ostatniej, przez pozostałe dwa bataliony naszego pułku.

Z kolei 2-gi i 3-ci batalion 10-go pułku i pozostałe IV-tej Dywizji prowadziły zacięte boje o kolonię Rudki, Dobrogoszcz, Jaksice, Kolno, Lubno i po zdobyciu tychże przeszły do walk w rejonie Jabłonowa, gdzie doterak nasz 1-szy batalion z odwodu /rejon Dobrzyca/.

W związku z ukazaniem się większych grup nieprzyjacielskich przebijających się z okrażeń 10-ty pułk został ściągnięty do akcji oczyszczenia lasów na tyłach armii. Batalion mjr-a Wnukowskiego zajął rejon Nowa Szwecja - zadaniem jego było powstrzymanie ataków wroga, od strony lasu i wylotu szosy z Wąlcza.

Przypominam sobie, jak w czasie przeszukiwania lasów w początkach Niemc

I/1/38

3

✓ mniejszy, czy większy stawiali opór, później do polskiego wojska nabierali zaufania i bez jednego strzału poddawali się a nawet wysyłali swoich łączników do dowództwa batalionu z zawiadomieniem, że w danym odcinku znajdują się większe grupy Niemców, którzy chcą oddać się w niewolę i proszą o dokonanie obławy, oczywiście mjr. Wruckowski odpowiednio już organizował, parę razy brałam udział w tych akcjach, gdyż po walkach tego rodzaju zadania żadnej trudności nie sprawiały w dodatku żołnierze kierując się troską o mnie abym nie odczuwała zimna - ofiarowali mi trofejny kołnierz futrzany nie duży i kolorem do płaszcza dobrany. Było mi ciepłutko i miłutko przy szyi, przyglądałam się nieraz w lustrze orzekłam, że nawet jest mi do twarzy, jako kobieta lepiej wyglądałam w nim aniżeli mężczyźni wyżsi oficerowie, wobec czego pozwoliłam sobie nosić go. Tym bardziej, że dow. baonu widząc mnie kilka razy, nie zwrócił uwagi a koledzy w kompanii upewniali mnie, że z tego tytułu napewno nie będę miała żadnych przykrości, bo jestem kobietą chociaż nieraz zapominałam, że de facto nią jestem, mnie traktowano jako dowódcę, ja też dążyłam do tego i mimo, że było mi o wiele ciężiej, niż mężczyznom uparcie pokonywałam wszystkie trudności, aby wywiązać się jak najlepiej ze swoich obowiązków i dawać przykład żołnierzom. Do tej pory na marszu dwa razy skorzystałam z przewiezienia środkami lokomocji, na krótkich odcinkach drogi w okolicach Chełma i o ile się nie mylę Lublina, musiałam być bardzo zmęczona.

Nie przypominam sobie w której miejscowości odbyło się uroczyste wręczenie nagród najbardziej zasłużonym żołnierzom w walkach o "Wał Pomorski", w której brała udział cała dywizja. Pamiętam gdy szliśmy do wyznaczonego placu, dow. pułku płk. Potapowicz dokonując przeglądu oddziałów na trasie, zauważył że mam futrzany kołnierz i krzyknął donośnie "poruczniku Wulf zrzućcie ten kołnierz, to nie jest rewia mody". Zdenerwowałam się, kołnierz zdjęłam i dałam któremuś z żołnierzy, aby schował go do kieszeni z myślą że będę go nakładać w lesie, czy w xxxxxxxxxxxxxxx

II/1/39

w walkach ściśle określając w oczekiwaniu na jakiś bój. W pierwszej chwili posunięcie dow. pułku wydało się mi bardzo niesprawiedliwe, płk. Potapowicz nosił też kołnierz futrzany w dodatku bardziej puszysty a mnie polecił zdjąć taki skromny, przypomniałam sobie wówczas Stecowkę, gdzie podkreślał wiele razy, że jestem kobietą i aby mi było łatwiej powinnam pracować w sztabie a w tym przypadku ostro zareagował na tak niewinne przekroczenie z mej strony dyscypliny w moim pojęciu nie można było nazwać przekroczeniem, po prostu pozwoliłam sobie na nieszkodliwy przywilej. Parę razy jeszcze nakazywałam go, później zaniechałam, muszę dodać że lubiłam i szanowałam płk. Potapowicza, swoją przekornością jednocześnie podrywałam jego autorytet.

3

Tam pożegnaliśmy naszego kochanego dowódcę batalionu mjr. Wnukowskiego, który w czasie działań w okolicy małych jezior został ranny w nogę i mocno utykał, na zapytanie odpowiedział, że nie bardzo boli noga, ale to przyjeździe, nie chciał zostawić swego oddziału, lecz z chwilą pogorszenia się przeniesiono go do sztabu dywizji, gdzie pracował i jednocześnie poddał się ambulatoryjnemu leczeniu, po jego odejściu - dowództwo batalionu przejął por. Nikanowicz.

Z kolei opuściliśmy pozycje obronne w Kolnie i udaliśmy się do lasu na zachód od Toporzyska, pamiętam droga była ciężka, miejscami śnieg, gdzieś niegdzie błoto, żołnierze szli wytrwale, lecz tabor pozostawał w tyle następnie każdy wziął swoją część moździerza i szliśmy dalej. W lesie zatrzymały się dwa plutony 3-ci i 1-szy a mój 2-gi z dow. kompanii szedł dalej już po wąskich stromych ścieżkach. Po jakimś czasie zatrzymaliśmy się w małym zagajniku z lewej strony od kompanii strzeleckiej, która miała nacierać na nieprzyjaciela a ja ich atak miałam wspierać swoim plutonem. Na wstępie otrzymałam zadanie - dotrzeć z moździerzami za skarpą oddaloną o jakieś 250 m., przez teren zupełnie odkryty i niebezpieczny z uwagi na ostrzeliwanie i z tego wzgórza, xxxxxxxxxxxxxxxxxxxx cz

skarpy - trudno to określić na omówiony znak - bić z moździerz. Poczuliśmy się wówczas nieswojo, pierwszy raz miałam wykonać zadanie tylko ze swoim plutonem, do tej pory działaliśmy w dużej grupie - całej baterii, świadomość, że dwóch plutonów tu niema odbierało mi odwagę. Z kolei zapoznałam żołnierzy "gdzie i w jaki sposób mają dotrzeć". Wreszcie podał rozkaz - namyślałam się, jakieś dziwne uczucie owładnęło mną, prowadziłam jak gdyby wewnętrzną walkę dochodząc do wniosku, że w ten sposób nie mogę się zachowywać, żołnierze zorientują się, że ich dowódca ~~waha~~ waha się i gdy por. Tuszyński powtórzył rozkaz po raz drugi byłam już psychicznie nastawiona do działania i w przyszłości mając zadanie z mniejszą grupą do wykonania, podobnego wrażenia nie odczuwałam. Natychmiast podałam: drugi pluton za mną - kilka osób przebiegło ten teren ostrożnie i szybko, tak raczej należało, na miejsce przybył pierwszy celowniczy szer. Żołyński, ładowniczy i ja, później jeden z amunicyjnych i jeszcze dwóch żołnierzy. Pozostali w tym czasie byli w połowie drogi, powiedziałam "do diabła mogli by wszyscy być już na miejscu", czas uciekał, Niemcy zaczęli częstować ich pojedynczymi strzałami, widziałam jak chronili się przed kulami za niskie i rzadko rosnące krzaczki jałowcu - zdawałam sobie sprawę, że szanse ukrycia są znikome, jeżeli nie rani któregoś z nich w głowę, to w rękę czy w nogę - niecierpliwiłam się. Mając w komplecie jedną drużynę poleciłam ustawić moździerz do otwarcia ognia. Później niepełną drużyną ustawiono drugi - nasi w tym czasie pojedynczo przebiegali, lub czołgali się przez ten odcinek, następnie przybiegło dwóch, czy trzech. Wreszcie wszyscy wraz z dowódcą kompanii dotarli do nas, z kolei ustawiono 3-ci moździerz, obliczyłam odległość i ustawiono celowniki, czekaliśmy w milczeniu chwilę, lecz omówionego sygnału nie było, zaczęłam męczyć por. Tuszyńskiego "dlaczego czekamy i kiedy otworzymy ogień, dow.kompanii odpowiedział, że coś musiało się zmienić. Po chwili od dowództwa pułku przybiegł łącznik z rozkazem, że ognia z moździerzy otwierać nie wolno.

D. 114

Niemcy zaczęli sobie kpić z nas - wychodzili z okopów i ziemianki położonej na ich linii obronnej z prawego skrzydła i urządzali jakieś tany, prosiłam dow. kompanii, że pošlę na nich parę pocisków przecież grają nam na nerwach, na co oczywiście zgody uzyskać nie mogłam, później od naszej piechoty w kierunku Niemców szedł jeden żołnierz imieniem Felek - znany w całym pułku, musiał być widocznie po kilku głębszych - niecierpliwiliśmy się wszyscy, nieprzyjaciel ognia nie otwierał nasi też, po nawoływaniach Felek wrócił do swoich. W międzyczasie przyszedł do nas z-ca dowódcy pułku mjr. Skiba /mjr. Rzęczycki od jakiegoś czasu przeniesiony został do sztabu dywizji/ z przypomnieniem abyśmy z moździerzy nie strzelali z uwagi na oszczędność min, gdyż część taboru przypuszczalnie będzie za parę godzin /część taboru już dotarła/.

4 | Ja z kolei zaczęłam męczyć majora aby zezwolił z mojego moździerza, który był niezawodny - puścić chociaż 3 miny na okopy i najbliższą stojącą ziemiankę nieprzyjaciela uzasadniając, że wróg bagatelizuje nas, wtedy z-ca dow. pułku zaprzeczył, że trzema minami w cel nie trafię i po dłuższej chwili zgodził się na moją propozycję zezwalając wystrzelić 5 min., ja jednak zaznaczyłam, że dwie miny oszczędzę a zużyję tylko 3. Jeszcze raz po celowniczym Żołyńskim sprawdziłam celownik i podałam dane wnuczemu : puście jedną minę - czekaliśmy zobaczyłam, że znosi ją w prawo i zanim dotknie ziemi obliczyłam minimalne przesunięcie i podałam "wrzućcie minę", obserwując gdzie leci powiedziałam : uwaga majorze - druga mina trafia w cel, tak rzeczywiście druga mina rozerwała się przed ziemianką - był zdziwiony i zanim mjr. zorientował się wrzuciliśmy третią minę, która upadła nieco dalej, na okopy, tam ją kierowałam. Powiedziałam, że ten moździerz jest tak dokładny, że z niego śmiało bić można z prostego nawodzenia - życzyłam sobie, aby wszystkie były takie. Z-ca dow. pułku złożył mi gratulacje a por. Tuszyński rósł z radości, drużynę pochwalono - byli dumni, Niemcy chwilowo uspokoili się.

Mjr. Skiba odchodząc powiedział nam, że tu na skraju Żebinka zastosują inny manewr, następnie przybyły dwa nasze plutony, które zatrzymały się w lesie. Po jakimś czasie Niemcy znów zaczęli wychodzić, że swojej ziemiarki - pomyślałam sobie szkoda, że niema tu moździerzy 120 mm., napewno nie jest tak masywnie zbudowana, więc parę pocisków zmiotły by tę ziemiarkę z powierzchni ziemi, nawet zastanawiałam się, czy mogłabym trafić z tej wspaniałej broni, w dywizjonie opanowałam dobrze ten moździerz teoretycznie, lecz będąc w 82 mm. - nie strzalałam ze 120 mm., ale po zastanowieniu się - orzekłam w myśli, że napewno dobrze ~~konkretnie~~ spisałam się, w prowadzeniu ognia między nimi, były nieduże różnice. W zasadzie moździerz 120 mm. , był bardziej niezawodnym w trafianiu do celu.

O lekkim zmroku poszły do natarcia trzy czołgi, nieprzyjaciel przywitał je silnym ogniem, jeden z nich na naszych oczach wybuchł skupem dymu, pamiętam jak z pośród nas odezwało się parę głosów " trafili" - dwa pozostałe cofnęły się, byliśmy bezradni - niemogliśmy pomóc swoim ogniem, lecz tylko z ukrycia obserwowaliśmy, jeden z załogi wyskoczył przez luk, ale za moment snajper niemiecki zastrzelił go, niebawem drugi ukazał się z pod gąsienic płonącego czołgu zaczęliśmy z ukrycia krzyczeć " tu są swoi czołgaj się do nas, uważaj na ogień nieprzyjaciela" zdając sobie sprawę, że jest poparzony i ogień w dalszym ciągu tlił się na jego umundurowaniu dawaliśmy wskazówki : przewracaj się na plecy i boki - dostosowując się do naszych rad zlikwidował ogień i czołg się w naszym kierunku, wreszcie zupełnie osłabł w tym momencie kol. Artiomienko i jeden żołnierz przykro mi, że nie pamiętam nazwiska nie zwracając na nieprzyjacielski ogień - wciągnęli czołgistę na nasze stanowiska - tu było bezpiecznie. Ztroszczyliśmy się o niego udzielając mu pierwszej pomocy, na jaką nas było stać, na wstępie obejrzano odzież, czy się nie tli, na szczęście nie był tak bardzo poparzony, dałam krem do posmarowania pleców, nóg i twarzy, która najmniej ucierpiała, najbardziej parzyła go plecy, włosy

i brwi miękkie podpalone. Był bardzo spragnionym - napiiliśmy letnią herbatą, doładowaliśmy, że nie mieliśmy spirytusu. Odetchnęliśmy z ulgą, że chociaż jeden z czołgi czółgu uratował się, jak się okazało był to mechanik, który odpoczął i ochłonął z pierwszego wrażenia powiedział: dzięki wam zostałem uratowany, ale koledzy nie żyją, moja maszyna spalona, ciężko będzie to przeżyć. Po chwili udał się do najbliższego punktu sanitarnego, poinformowaliśmy go w którym miejscu należy go szukać.

5) Późnym wieczorem przybył do nas z-ca dow. pułku z rozkazem aby nasza kompania wytypowała kilkunastu żołnierzy z ppor. Artiomienką do desantu czołgowego, gdyż w niedługim czasie na nieprzyjaciela będą atakować nie same czołgi, lecz z desantem na Żabin /Grosse Sabin/ a nie Żabinek /Klein Sabin/. Por. Ruszyński zwrócił się z prośbą do mnie abym zgodziła się jechać, gdyż kol. Artiomienko odmówił uzasadniając tym, że jest moździe-rzystą i do niego to nie należy. Zgodziłam się chętnie, poza tym nie mogłam inaczej postąpić, trzecim oficerem był dow. kompanii, 4-go nie mieliśmy. Doznałam, że pozwolę sobie wybrać ludzi z całej kompanii w tym odezwęło się kilku żołnierzy, że chcą ze mną jechać, między innymi zgłosił się żołnierz, który na "Wale Pomorskim" odmówił rozkazu, oczywiście wybraniem jego i jeszcze dwóch i uciszyłem resztę aby przestali krzywić. Dowódca dał mi wolną rękę w doborze, w tym momencie odezwęło się kol. Artiomienko "Czesia nie bierz tylko moich całowniczych" uspokoiłam go mówiąc "Jurij nie tylko twoich, ale żadnego z nich nie wezmę, dla uspokojenia tych co ze mną mieli iść dodałam: mogą się tu przydać na miejscu w razie zaskoczenia ze strony wroga.

Zopatrzone nas w ręczne granaty, parę automatów i karabiny - wyruszyliśmy przebiegając w większości czołgając się ponieważ Niemcy nekali nas swoim ogniem, ale przestrzeń ponad 2-ch km. odbyliśmy dość szybko przyt

wajac o wyznaczonej godzinie do lasku, gdzie stało 6 czołgów. Nad całością desantu czuwał oficer nieznan mi, był on zapewne z innego pułku, do dziś dnia zapamiętałam go sobie, na wstępie poinstruował nas, ja z kolei dawałam pewne wskazówki żołnierzom i wsiadłam z nimi na najbliższy stojący czołg, za chwilę ruszyliśmy do ataku. W drodze usłyszałam rozmowę, jak nasz dowódca czołgu mówił do załogi, że jeden c.k.m. zacina się, drugi już nie działa zrozumiałam, że w ataku można jedynie liczyć na działko, które znajduje się w czołgu i na naszej akcji - prowadzonej już z bliższej odległości, mimo tego dowódca przyspieszał tempo i znacznie wyprzedzał pozostałe czołgi, które szły w tyralierze. Na zwróconą przeze mnie uwagę aby zwolnił bieg, młody porucznik rzucił się odpowiadając abym go nieuczyła, gdyż brał udział w walkach i wie co należy robić podkreślając, że jest dow. czołgu i o wszystkim decyduje. Odpowiedziałam, że waszemu doświadczeniu nie zaprzeczam, lecz kierując się wiadomościami zdobytymi w szkole stwierdzam, że w tej chwili stosujecie własną metodę. Według zasad taktycznych w tym przypadku ~~xxxxxxx~~ czołgi winny iść w tyralierze ewentualnie t.zw. "szachownicy", co depresyjnie wpływa na wroga, dodając, że ja z kolei jestem dowódcą grupy desantowej i my wspólnie działamy. Do nas należy wykonanie zadania z najnajmniejszymi stratami z naszej strony o ile jest to możliwe, poza tym ja odpowiadam za ludzi a wy za swoją załogę i oddany do waszej dyspozycji czołg.

W tej chwili od strony nieprzyjaciela odezwały się strzały, za moment wzmogły się do huraganowego ognia - zrobiło się widno, jak w dzień, dowódca czołgu dodał gazu do natychmiastowego wycofania się z pod zasięgu ognia a nasz który znajdował się najbliżej niemieckich okopów - cofał się z zadziwiającą szybkością przechylając się tylko, to w jedną to w drugą stronę - spojrzałam na swoich żołnierzy, byli mocno pochyleni dosłownie przylgnęli do stalowego cielska, nadmieniłam aby mocno trzymali się, bo jeżeli któryś zsunie się teraz pod gasienice to koniec z nim, nawet porucznik nie uprzedził nas, że czołg będzie się kołysał, ~~xxxxxxx~~

któryś parsknął śmiechem i parę głosów zapewniło mnie, że nie spadną. W niedługim czasie wyrównaliśmy się do poziomu innych, następnie zwolniły bieg i powoli przejeżdżały przez drogę w lasku, skąd ruszyliśmy do ataku, tu zobaczyłam, że ludzie na innych czołgach ulegli dużej panice, nawet kilku żołnierzy zeskoczyło w biegu, czołgi przejeżdżały dalej i zatrzymały się na lekkiej nizinie za laskiem. Powstało wielkie zamieszanie - dowódca ~~wzburzył się~~ desantu biegał od jednego czołgu do drugiego, przy tym krzyczał i wymachiwał rękoma. W pewnej chwili przybiegł do nas i podniesionym głosem coś mówił - powiedziałam spokojnie że, adres pomylimy, tu przy nas poruczniku niewygodujcie swoich nerw, pilnujcie lepiej żołnierzy na pozostałych 5-ciu czołgach - odszedł natychmiast.

Po chwili zorientowałam się, że zarządzone odpoczynek o czym dow. desantu nie powiadomił mnie, gdyż się nie zbliżał, zaleciłam również swojej grupie chwilowe opuszczenie czołgu dla rozprostowania kości nadmienając tylko, aby byli w pogotowiu i dalej nie odchodzili.

Przerwę zakończono, ulokowaliśmy się na czołgu, dow. desantu krzykiem dawał bodźca do walki - działał mi tym na mój system nerwowy, wtedy powiedziałam do żołnierzy : jeżeli ten porucznik przyjdzie do nas " to cholera jasna chyba go uduszę" żołnierze wybuchnęli śmiechem, zaczęli śartować, jeden z nich zauważył, że podobnie ale nie tak wypowiedziałam jak mówi dowódca naszej dywizji, drugi dodał, że gen. Kieniewicz nie mówi cholera tylko "chalera" i wypowiedział z charakterystyczną dykcją, przez tym wprowadziłam wesoły nastrój.

Muszę dodać, że wszyscy oficerowie w 10-tym pułku w chwilach podniecenia, czy też dla podkreślenia ważności jakiegoś zadania i w żartach - używali tylko "cholera jasna", przyznam, że to było nawet przyjemne, każdy starał się naśladować dow. dywizji, przy tym nieoperowano gorszymi przekleństwami. Zwyczaj przyjęty został odgórnie i przez nas wszystkich aprobowany i za to nikt nie miał prawa obrazić się.

Ih/47

do kompanii strzeleckich i wnioskując po nieznanym poruczniku, którego wytypowano na dow. desantu, większość żołnierzy była napewno z innych pułków naszej dywizji.

Niemcy zaczęli uciekać w wielkim popłochu oskaniając odwrót wzmocnionym ogniem w tym czasie jeden z moich żołnierzy zostaje rannym okazało się, że w nogę i sam nie mógł zejść i uciec się do sanitarnego punktu, wyzna- czyłam więc drugiego żołnierza z innego plutonu, do pomocy rannemu, naj- prawdopodobniej pozostało mi wówczas 13-tu lub 14-tu żołnierzy.

W tym czasie inne czołgi wyprzedziły nasz zmniejszając tym samym odleg- łość między nieprzyjacielem. Przyspieszyliśmy bieg jednocześnie wzmoży- liśmy ogień kierując go na wszystkich uciekających Niemców, lecz na prze- dpolu nie dogoniliśmy już, tam najprawdopodobniej żadna grupa walki nie prowadziła. Podjechaliśmy blisko wsi, zeskoczyliśmy z czołgu, dowódca podziękował za współpracę dodając, że chciałby abyśmy jeszcze spotkali się w akcji, żegnając się z nim odpowiedziałam, że wszystko możliwe, być może że przypadnie nam razem walczyć, porucznik coś jeszcze krzyknął, ale już nie usłyszałam - musiałam biec za żołnierzami, inne grupy też udały się do wsi - większość na lewo, część z nich i nasi w kierunku prawym ostrzeliwując się i rzucając granatami w grupy zatrzymujących się, lub chowających się hitlerowców - nawet do piwnic. Tego nie da się opisać - dzieło się to w błyskawicznym tempie, wzmocniona była czujność i działanie do maksimum. Przepuszczalnie większość swoich sił nieprzyjaciel zdażył wycofać, ale pozostała poległa, przede wszystkim dużą rolę pod Żabinem odegrały czołgi w tym 5 Typu - T-34, szóstego czołgu typu nie zapamię- tałam, likwidując swoim ogniem nie tylko siły nieprzyjacielskie w lu- dzich, lecz niszcząc ich sprzęt, jak c.k.m.-y i inne rodzaje broni, co niejednokrotnie zaobserwowałam.

Z resztkami sił wroga we wsi uporały się grupy desantowe zdobywając Żabin około godziny 8-mej rano w dniu 2-gi marca, został zdobyty wyłącz-

przez grupy desantowe.

Po walce wszyscy żołnierze lo p.p., zgrupowali się w jednym miejscu, przy ognisku na skroju wsi, niektórzy ogrzewali się, inni konsumowali, dzieląc się tym, co mieli. Mnie też poczęstowano kawałkiem chleba przypieczonego na ogniu, ale jeść nie mogłam. Analizowałam przebieg walki, czułam się źle, brakowało mi mózdzierzy, odnosiłam wrażenie jak gdyby mnie z nich rozbrojono, na czołgu w mniejszym stopniu zastępowało mi ich działko, rozmyślałam nad tym, jak można się żyć z ludźmi w takich momentach.

Zdałam sobie sprawę, że kocham moją broń, tak miałam zacięcie do broni tak zwanej "stromotorowej", tęskniłam za resztą kompanii, która pozostała pod Żabinkiem, byli wszyscy dla mnie bliscy i drodzy. Gdy po jakimś czasie zobaczyłam zbliżającego się por. Tuszyńskiego bardzo się ucieszyłam i wyszłam na spotkanie. Podchodząc do niego zasypałam go pytaniami: czy wszyscy żyją, czy są mózdzierze i czy dołączył już do kompanii żołnierz, który odprowadzał ранnego? Dowódca kompanii odpowiedział - oto się zbliżają, wszyscy są wraz z baterią, żołnierz też jest, przy tym dodał, że ten z pierwszego plutonu ma dużą ranę i bardzo dobrze zrobiłem dając mu do pomocy kolegę. Później zdałam relację z naszej akcji, przy tym zawiadomiłam, że jeden został ranny o którym wiecie, poza tym wszyscy są w jak najlepszym zdrowiu i naprawdę dzielnie się spisali. Por. Tuszyński pochwalił mnie i moją grupę.

W godzinach popołudniowych przybyły do Żabina oddziały lo-go pułku, które w tym dniu po zaciętych bojach stoczonych pod Żabinkiem, przełamały opór wroga i udały się do Żabina na parugodzinny wypoczynek.

Żołnierze myli się, czyścili broń, drudzy własnoręcznie ugotowali smaczny obiad, dla całej kompanii i nikt z nas nawet nie zdrzemnął się, jedni opowiedzieli o swoich przeżyciach, drudzy słuchali. Korzystając z nagrzanej wody przeszłam do małego pokoiku, gdzie po umyciu przebrałam czystą bieliznę i poczułam się wypoczętą, świeżą i silną, nawet nie po xxxxxxxx

myslałam o odpoczynku a później nie miałam czasu, gdyż wiadomość o moim udziale w desancie - rozniosła się po pułku bardzo szybko i koledzy przychodząc pytali mnie, "jak tam było" w początkach opowiadałam, później już miałam tego dość i krótko zbywałam "było dobrze tylko nieco przygłuchłam i muszę wypocząć aby dojść do formy".

~~Wieszam~~

Wieczorem wyruszyliśmy z Żebina, w nocy zdobyliśmy folwark Boninek i pomaszzerowaliśmy dalej, następnie pułk przeprowił się, przez rzekę Drawę i zdobywa Drawsko, kolonię Żółte i przechodzi w rejon Rynowa, gdzie w walce bierze do niewoli wielu jeńców niemieckich. Z kolei udaje się do Tarnowa, w lasach wspólnie z pododdziałem pułku radzieckiego, który od paru dni był w okrążeniu, stacza bój zabierając do niewoli hitlerowców. Tam prowadziliśmy ogień z moździerzy i w tym czasie łączność naszej kompanii znajdująca się w pewnym oddaleniu od baterii, zostaje zaskoczona przez Niemców, ale dwaj bracia o nazwisku Baryluk i ich dowódziny w stopniu kaprała /nazwiska nie pamiętam/ doskonale uporali się z nimi, kilku zabili resztę wzięli do niewoli. Dużą grupę hitlerowców dostarczył również ordynans dowódcy kompanii szer. Karwacki Kazimierz.

Z kolei udaliśmy się na odpoczynek w rejon Oświęcin, Unibórz, który poświęcono na uporządkowanie mundurów, wymianę obuwia, kąpiel itp. Sprawdzano stan broni i gruntowniej czyszczono ją, muszę dodać, że w naszej kompanii na kilkudniowym odpoczynku czyszczenie broni do najgłówniejszych nie należało, tę czynność wykonywano natychmiast po walce, jeżeli były tylko możliwości a na jednodniowych postojach, czyszczono zewnętrzną część moździerza szczególnie kółka od lawety, które ulegały rdzewieniu - to zostało wpojone od początku. Żaden żołnierz nie miał prawa zgubić np. wycioru od karabinu przypominam sobie, jak jeden zgubił łopatkę, to miało miejsce w Nowej Szwecji i wtedy por. Tuszyński polecił w przeciągu trzech godzin zdobyć ją i zdobył, nawet mieliśmy pewne wątpliwości, czy nie wypożyczył z innego plutonu, wówczas każdy z dowódców skontrolował

w swoim pododdziale a ja pospieszyłam się z przeglądem w swoim i mając w podejrzeniu pluton kol. Artiomienka, przy sprawdzaniu wszłam jak gdyby przypadkowo na jego teren, ale okazało się, że wszyscy posiadali łopatkę. W czasie pobytu w Stecowce 3-ci pluton zgubił na ćwiczeniach topór i pod naciskiem swego dowódcy aby go znaleźli idąc po najmniejszej linii oporu ukradli z kolei mojemu plutonowi, paru-dniowe szukanie jego okazało się bezskuteczne, dowódca kompanii przypomniał mi o nim, denerwowałam się i wówczas nie wiedziałam, jak to się praktykuje, por. Tuszyński dopingował abym uzupełniła swój sprzęt, wtedy całą złość wyładowałam na kol. Jurku, że nie skłusnie przez ^{niego} ~~jego~~ i jego pluton ponoszę konsekwencje i aby natymist oddał mój topór. Kol. Artiomienko cierpliwie wysłuchał moje wymówki lecz mego polecenia nie wykonał. Wtedy rozkazałam moim żołnierzom w terminie 2-ch dni - topór zdobyć tylko bez wzajemnego okradania, przy tym dodałam, że wpłynę na to aby podobne przypadki nie miały miejsca w naszej kompanii. Rozkaz został spełniony, i od tego czasu wszyscy pilnowali broni i sprzętu z nadzwyczajną gorliwością, za wyjątkiem zgubienia łopaty, co wyżej opisałam.

Przyznać należy, że byli to bardzo zdyscyplinowani żołnierze w przebytych bojach zdobyli bogate doświadczenie i chociaż stan liczebny stopniowo maleł, nie narzekali, lecz z większym wysiłkiem pokonywali wszystkie trudności. I nie tylko nasi żołnierze byli tacy, ale cały pułk był karną jednostką, dominował porządek i posłuszeństwo, niewidziało się rozluźnienia, pijaństwa i tp., w takim pułku dowódcy-kobiety miały łatwiejszą pracę a ich szacunek i ^{te} autorytet uzażniony był od wiadomości z zakresu szkolenia i przygotowania, od właściwego postępowania z kolegami i żołnierzami, zachowania się a nawet od organizowania każdej drobnej czynności w umiejętny sposób.

Postawienie jednostki na wysokim poziomie było niewątpliwie zasługą dow. pułku płk. Potapowicza, z-cy mjr.-a Rzeczyckiego, z-cy pol.-wych. kpt. Konińskiego, który prowadził pogadanki polityczne i niejednokrotnie xxxx

docierał do żołnierzy znajdujących się na pierwszej linii.

I nie tylko dowódców pułku, ale i dowódców dywizji, jak gen. Kieniewicz i jego z-cy polit.wych. ppłk. Urbanowicz - tak bardzo lubianych, przez żołnierzy, których często widzieli na pierwszej linii a ppłk. Urbanowicz będąc oficerem polit.-wychowawczym, nie ograniczał się jedynie do zakresu pracy politycznej, lecz w boju w trudnych nieraz sytuacjach, sam dawał przykład żołnierzom do spełnienia powierzonego zadania. Wyżsi dowódcy swoim bezpośrednim serdecznym stosunkiem do żołnierzy zjednali sobie ich całkowicie, byli dla nich dowódcami i jednocześnie przyjaciółmi, w naszym pułku odczuwało się atmosferę ciepłą i rodzinną, na tym górowała dyscyplina. Poza tym założenia i kierunek ogólnie postawiony kontynuowali oficerowie oddziałów i pododdziałów. Gdy pewnego razu opowiadałem koleżance z 3-ciej dywizji, jaki nastrój i porządek był w naszej jednostce odpowiedziała mi : Czesia to nie do uwierzenia, czy ty się przypadkiem nie mylisz, bo w naszym pułku nie wszyscy niżsi oficerowie - znali dowódców dywizji a może nawet i pułku, a cóż dopiero żołnierze.

W tych okolicach zapowiadał się dłuższy postój, ale w II-giej dekadzie marca 10 p.p. alarmem bojowym został wezwany do wymarszu. Pami tam tę drogę odbyta nocą, jak żołnierze maszerowali ciągnąc za sobą moździerze, po piśczystym lekko zalesionym terenie, przybywając do miejscowości Płoty. Na następny dzień załadowano nas na samochody i przewieziono do rejonu Kołobrzegu.

Kolberg - twierdza obronna nieprzyjaciela, gdzie Niemcy skoncentrowali najlepsze swoje siły, które uzbrojono w czołgi, działa pancerne, 6-cio lufowe moździerze o pociskach raketowych, artyleria przeciw-lotnicza i okrętowa, pociągi pancerne, nie mówiąc już o broni maszynowej, fęcznej,

i panzerfauze, które najbardziej dawały się we znaki piechocie i czołgom.

O tę twierdzę rozpoczęła walkę radz. armia pancerna, następnie wprowadzono wojska 3-ciej dywizji i 6-tej dywizji armii polskiej, z kolei ściągnięto naszą. W początkach nasz pułk wzmacniając się na rubieży toru kolejowego na odcinku Mirocice-Kołobrzeg, przeszedł do natarcia o fabrykę metalurgiczną, atak wspierają moździerze 82 mm., mimo silnego oporu ze strony wroga lo p.p. zdobywa fabrykę. Następnie przechodzi do ataku na parowozownię, tu spotyka go zacięty opór, ogień z artylerii i moździerzy nie odstrasza go, Niemcy mając dodatkowe wsparcie z pociągu pancernego - przechodzą do kontrataku. Później znów pułk rusza do ataku a bataliony nasz i 3-ci kpt. Żerdiewa nacierają na budynki położone na północ od parowozowni, lecz hitlerowcy prowadzą tak zacięty ogień, że piechota nie jest w stanie poruszyć się i zalega. Na jeden z domów, który stanowił silny punkt oporu skierowano ogień z artylerii i moździerzy 120 mm., został on zburzony, lecz nieprzyjaciel w dalszym ciągu prowadził morderczy ogień. W rejonie parowozowni pułk nasz zdobywa : 2 zestawy pociągów, jeden wagon pancerny, tankietki, czołgi, i pamiętam w tym 4 wagony z minami, do niemieckich moździerzy 81 mm. Dowództwo zezwoliło z nich skorzystać, żołnierze biegali aby jak najwięcej ich przynieść, prócz naszej kompanii pozostałe z 2-go i 3-go batalionu, też się w nie zaopatrzywały i przy następnych atakach piechoty, biliśmy po pozycjach nieprzyjacielskich ich własnymi minami. Na wstępie poinstruowałam : ta mina w tym najgrubszym miejscu, ma średnicę mniejszą od naszej o 1 mm., w związku z tym będzie wylatywała bardzo szybko z lufy, na tym należy skupić uwagę - widzicie ją jest taka sama, jak nasza z tą różnicą o której wspomniałam i wrzuca się ją tak samo, jak naszą -skrzydełkami w dół, wołałam przypomnieć mimo, że żołnierz był doświadczony, lecz w tym przypadku miał zwróconą uwagę na inny szczegół. W krótkim czasie wystrzelaliśmy trofajne miny.

Chcę wyjaśnić, że w okresie szkoleniowym dow. kompanii w pewnych odstępach czasu przynosił minę bojową w celu zapoznania i opisania jej, oczywiście obchodzono się z nią ostrożnie, żołnierze wiedzieli z czego się składa, że na dole tak zwanych okolicy skrzydełek wewnątrz umieszczony jest zapalnik, który przez nakłucie iglicą u nasady lufy powoduje zapalenie i na skutek siły wyrzuca minę z lufy, która leci na obliczony cel, przy zhamowaniu o coś głównym zrywaczem - rozpryskuje się. Ponieważ w praktyce nie można było tego zastosować więc operowałam, że minę wrzuca się skrzydełkami w dół to znaczy do lufy, dla lepszego utwalenia w pamięci, aby nie pomyłono zrywaczem z zapalnikiem i nie wrzucono miny odwrotnie. Wszyscy żołnierze w całej kompanii zapamiętali sobie i tak mówili "skrzydełkami w dół". Okazało się, że określenie nieprawidłowe, lecz jasne i proste, okazało się praktyczne i zdało egzamin.

Następnie do walki w rejonie perowozowni skierowano 12-ty pułk a nasz z 11-tych otrzymał zadanie nacierania na zakłady farmaceutyczne, płk. Potapowicz wykorzystując noc - zorganizował grupy szturmowe składające się z kompanii strzeleckiej i rusznic przeciwpancernych a nawet działka 45 mm. i czołgi. Między innymi utworzono grupę pod dowództwem por. Popowa - d-cy 2 kompanii fizyliarów w skład jej weszli żołnierze z plutonu ppor. Gierczak i z innych plutonów, już bez swoich dowódców. Dow. pułku zalecił Mili przejść do dyspozycji Szefa sztabu ppłk. Załubowskiego a nieliczny pluton oddać por. Popowi, lecz Milla odpowiedziała: tam gdzie moi żołnierze, tam i ja pójdę - słusznie inaczej postąpić nie mogła, obowiązkiem jej było wytrwać do końca.

Na następny dzień rano, nasi żołnierze widzieli przechodzącą grupę a nawet słyszeli urywki rozmowy, jaką prowadzili ze sobą płk. Potapowicz i ppłk. Urbanowicz udając się na swoje stanowiska dowodzenia, przed natarciem na zakłady farmaceutyczne i zorientowali się, że będzie poważniejsza akcja, dzieląc się ze mną uzyskaną wiadomością, mówili swoje uwagi: dlaczego ci pułkownicy tam się udają, tam będzie "istne piekło"

lepiej żeby zostali z nami, przy moździerzystach jest bezpieczniej, jeżeli zabraknie takich dowódców, to kto wtedy ich zastąpi, ~~przekazanie~~ wyjaśniłem, że udają się na swoje stanowiska dowodzenia, płk. Potapowicz z tytułu dowództwa pułku a ppłk. Urbanowicz jako przedstawiciel dowództwa dywizji, lecz żołnierzom to niewystarczyło - niepokoili się o nich w Kołobrzegu, odpowiedzieli, że znamy ich dobrze szczególnie ppłk. Urbanowicza, który często wyrasta jak z pod ziemi i jeżeli się wyłoni jakaś ciężka sytuacja dla piechoty, to ich poniesie na najbardziej niebezpieczne odcinki. Przerwałem wreszcie dyskusję uspokojując ich, że napewno sobie poradzą i wyjdą cało z akcji a my musimy się skupić do zakresu swoich czynności, gdyż może zająć konieczność wsparcia ogniem z naszych moździerzy dodając, że z waszej strony wyczuwam jednocześnie zazdrość, że ci dowódcy są przy piechocie, gdzie zachodzi konieczność, a nie z wami - moździerzystami.

Do akcji na zakłady ściągnięto 2 czołgi, które wspierają natarcie, podporucznik biegnie ze swoimi żołnierzami, za chwilę ukazuje się zarys transzeji, hitlerowcy silnie ostrzeliwiają, lecz Milo nie zwraca na nieprzyjacielski ogień - biegnie dalej i pierwsza zasypuje ich granatami, wszyscy skaczą do transzeji, tam już wywiązuje się walka wręcz, hitlerowcy zaczynają uciekać, lecz za moment kula nieprzyjacielska dosięga ich i martwa pada.]

Czołgi osłaniają, przez fizylierów por. Popowa posuwają się szybko w stronę tak zwanego "białego domu" i zakładów bijąc z działka i karabinów maszynowych, piechota nie nadąża za nimi - odstaje i zanim czołgownicy zorientowali się znaleźli się sami, przed rowem czołgowym, jeden z nich zawrócił, drugiego gaśienice unieruchomiły na płaskim gruncie w tym momencie niszczyciele czołgów podchodzą do wozu, w tym krytycznym momencie wyskakują: ppłk. Urbanowicz, płk. Potapowicz i ppłk. Woliwachin - szef sztabu 11-go p.p. i podrywają do ataku całą tyralierę, mimo silnego ognia broni maszynowej i moździerzy - pluton fizylierów zdobywa t.zw. "biały dom". Inni opanowują sąsiednie budynki zabierają

do niewoli kilkunastu hitlerowców - większość zabijając i raniąc.

O zakłady ponawiają jeszcze parę ataków, Niemcy silnie ostrzeliwiają z broni maszynowej, 6-cio lufowych moździerzów i innych rodzaju broni, lecz nasze dwa bataliony uparcie nacierają i wdzierają się do zabudowań, wkrótce opanowują całe zakłady. Jednocześnie kończą się walki o gmach biura parowozowni, gdzie nacierał znów 3-ci batalion naszego pułku, dużą rolę odegrał tu kpt. Witkowski dow. baterii - ogniem moździerza 120 mm. zlikwidował dobrze zamaskowany hitlerowski c.k.m. w oknie domu, który nie dał piechocie poruszyć się.

W dniu 17 marca pułk przechodzi do natarcia w kierunku dzielnicy willowej miasta, my z kolei przenosimy swoje moździerze bliżej, następnie przechodzimy ustawiając je, przy nasypie kolejowym, od strony nieprzyjaciela zosłania nas długi budynek kolejowy najprawdopodobniej jakieś magazyny. Za chwilę Niemcy ostrzeliwiają nas krótkim ogniem artyleryjskim, jeden żołnierz z 3-go plutonu zostaje ranny, ale mimo to niechce uciec się do punktu sanitarnego, kol. Artiomienko zmusza go do odejścia. Dow. kompanii udaje się do dowództwa. Zorientowaliśmy się, że jesteśmy w tym miejscu - dobrym punktem ostrzału przez nieprzyjaciela i radzimy wspólnie aby żołnierzy ułokować w bezpieczne miejsce. Kol. Jurek niechce się zgodzić, ponieważ "stary" /dow. kompanii/ zalecił tak pozostać aż do jego powrotu. Odpowiadam mu, że starego już długo niema i niewiedomo kiedy powróci, wydaje mi się, że nasze moździerze nie będą tu prowadzić ognia, gdyż piechota będzie nacierać w dzielnicy willowej a w razie czego są one na pozycjach i tam jest wszystko w porządku. Postanawiam działać sama, weszłam na peron zobaczyłam, że na pierwszym torze między progami są wykopane doły w niektórych są nawet poduszki, na tym torze w odległości jakieś 30 metrów stoją puste wagony towarowe, przetaczamy je wspólnie bliżej i zatrzymujemy vis a vis stanowisk ogniowych i mówię do Jurka : wagony ochronią nawet nieco nasze moździerze, a żołnierze będą blisko pod wagonami, kilku dyżurnych pozostanie na pozycjach i będą się zamieniać i z tego powodu stary nie zrobi drąki a przeciwnie pochwali nas, ale to jego nie zadowoliło i ~~kw~~

nadmienili, że przez stojące tu blisko wagony nie będziemy mogli otworzyć ognia z przeczylam, że wysokość wagonów, długość niedużej wysepki i wysokość skarpy jest znacznie niższa, od odległości do nich, co udowodniłam dodając, że morudzi, jak "stary kowaler", wtedy sam się przekonał i powiedział: masz dobry pomysł. Byłam bardzo zmęczoną i niedospaną, przez wszystkie noce w Kołobrzegu dyżurowałam na stanowiskach ogniowych, por. Tuszyński całkowicie poległ na mnie wiedział, że na moment nie usnę, w dzień w chwilach mniej napiętych nieraz zdrzemnąłam się, więc zwróciłam się do Jurka aby peknął dyżur nadmieniając, że jeżeli znajdzie potrzebę masz mnie obudzić, jeden z żołnierzy powiedział, że obudzi mnie na kolację zabroniłam przerywać mi sen i udałam się pod wagon, większość żołnierzy też już się tam znajdowała. Przespałam smacznie parę godzin, nad ranem obudziły mnie niedaleko rozrywające się pociski z artylerii okrętowej, później podąży bliżej, zaczęłam mówić sama do siebie "przelot, jeszcze jeden przelot - teraz leci na nas i tak rzeczywiście było, pocisk wybuchł za sekundę, odłamki rozsypały się wokół z rogów dwóch wagonów posypały się drzewgi, poczułam lekki wstrząs, ziemia usunęła się i częściowo zsy-pała mnie, nadsluchiwałam była ciszą zorientowałam się, że Niemcy zrezy-gnowali z ostrzeliwania, chciałam wyjść zobaczyć co dzieje się na pozyc-jach ogniowych z wielką trudnością odsunęłam ziemię, lecz nie mogłam się podnieść myślałam, że jestem ranna, ale po sprawdzeniu okazało się że nie, zastanawiałam się co to może być i narazie z wyjściem zrezygnowałam. Po chwili usłyszałam rozmowę żołnierzy ucieszyłam się, że żyją zaczęłam krzyczeć, lecz głos wychodził jakiś przytłumiony. Później zaczął chodzić kol. Jurek w tym momencie doleciały mi do uszu jego słowa "Ozesia żyjesz widocznie odpowiedziałam cicho i on nie dosłyszał, lecz żołnierze potwie rdzili, że żyję. Nie dowierzał podszedł i zapytał dlaczego nie odzywam się i na jego prośbę abym wyszła zkomunikowałam, że nie wiem co jest ze mną, nie mogę się podnieść, chwilę nie poruszałam się, później pomogli wyciągnąć mnie, lecz nogi odmawiały posłuszeństwa, przy pomocy ze-

szłam na ogniowe stanowiska i tam przesiadziłam jakiś czas. Tu został zabity z mego plutonu szers. Sobkow a jeden mój celowniczy został ranny w nogę i utykał. Zaleciłam udać się do punktu sanitarnego, nie chciałam i wyjaśnił, że rana jest niegroźna, widział ją prosząc na wszystko aby pozostał, bo przez zatrzymanie paru godzin w czy parę dni w punkcie straci kontakt z pododdziałem, wówczas rozkazałam zdjąć but i sama przekonałam się, że rana jest nieduża, tak niewątpliwie pierze uchroniło od poważniejszych obrażeń. Na miejscu zmusiłam do zrobienia opatrunku chroniąc tym samym od infekcji. Gdy o lekkim brzesku przybył dow.kompanii z rozkazem uderzenia się w kierunku willi zdażyłam już wypróbować nogi, były jakies ciężkie ale poruszałam się, kol. Artiomienko zameldował o tym dowódcy i na jego zapytanie, czy mogę iść upewniłam, że tak w drodze przejdzie, już czuję się znacznie lepiej. Por. rozglądając się zapytał "skąd wzięły się tu wagony" odpowiedziałam językiem kolejarskim, że ja z kilkoma żołnierzami przewekslowałam, nie zrozumiał więc powtórzyłam językiem literackim, nie uwierzył, że tak lekko przetacza się wyjaśniłam mu bliżej, że prawie jestem wychowaną na kolei, mieszkalam bardzo blisko stacji kolejowej i przez 11 lat dojeżdżałam pociągiem do szkoły. Te trzy wagony uchroniły nas i moździerze, gdyż większość odłamków uderzając o wagony rozsypała się po przeciwległej ich stronie.

W tym czasie pułk z nadludzkim wysiłkiem staczał ostatnie boje, walki prowadzone były zza węgłów domów, w willach, piwnicach, w ogrodach itp. gdzie dobijano resztki pozostałych hitlerowców. Tu ogniem moździerzy natarcia piechoty nie można było wspierać w bojach prowadzonych o każdy dom, czy też jego poszczególne kondygnacje moździerze 82 mm. zastosowania nie miały. Tu cały ciężar walk spadał wyłącznie na barki piechoty. Rano pułk dotarł do morza w rejonie kąpieliska, po czym odbyły się "Żaślubiny wojska z morzem."

W godzinach popołudniowych przwieziono zwłoki Nili, wyglądała tak, jak

gdyby spała, miała naturalne kolorki w kącie ust była widoczna strużka zaschniętej krwi, przemyłam jej twarz wodą kolońską i za chwilę grupa najbardziej zżytych z nią oficerów, pochowała ją, nad brzegiem morza żegnając ją na zawsze salwą honorową z pistoletów.)

IV-ta Dywizja pokonała hitlerowską fortecę "Kolberg" a największy udział w tym był niewątpliwie 10-go pułku, zdobywając wiele sprzętu wojennego, broni, amunicji, samochodów, wagonów kolejowych, magazynów żywnościowych, koni, nie mówiąc już o ważnych obiektach.

Ponieważ ze względów sanitarnych dłuższy pobyt niewskazany był w tym mieście, więc o godz. 20-tej w dniu 18 marca, pułk udaje się do Trzebiatowa odległego od Kołobrzegu o 25 km., przemarsz ten przeszedł znacznie łatwiej, kilku żołnierzy między innymi i ja przejechaliśmy pewien odcinek drogi, tak zdecydował por. Tuszyński. W godzinach popołudniowych następnego dnia, do naszego pułku rozlokowanego w koszarach przybyła kompania strzelecka, która w początkach marca odeszła na tyły armii z zadaniem likwidowania nieprzyjacielskich grup, przychodząc oczywiście z jeńcami i trofeami wojennymi. Przypominam sobie, jak przy nanoszeniu poprawek, przez aparat sztabowy - major Zalubowski cieszył się, że pułk rośnie, po stoczonych walkach w Kołobrzegu stanowił nieliczny oddział. Za dwa dni powróciła do nas grupa żołnierzy, która konwojowała jeńców wojennych wziętych do niewoli, przez I-szą armię W.P. i po drodze stoczyła wiele potyczek dołączając do liczby konwojujących dwa razy większą liczebnie grupę hitlerowców.

Następnie pułk ześrodkowuje się w Czerninie, gdzie w czasie kontroli terenu, patrol karnej kompanii wykrywa uzbrojonych hitlerowców i cywili w związku z czym przeszukano okoliczne wsie i ewakuowano ludność do Biłogardu. Oddziały 10-go pułku zajęły się porządkowaniem najbliższych

wiosek i dróg grzebiąc przy tym zwłoki zabitych Niemców.

Nasza dywizja przeszła do trzymania obrony nad Bałtykiem w celu zabezpieczenia, przed nieprzyjacielskim desantem od strony morza, a kompanie strzeleckie 1-go batalionu 10-go pułku zajęły obronę w rejonie Stramicy, miały one zadanie powstrzymania od ewentualnego natarcia od strony nieprzyjaciela z pobliskiego lasu i miasta Kołobrzegu. Do wzmocnienia węzłowego odcinka obrony przydzielono baterię 76 mm. armat i moździerz 82 mm.

Po jakimś czasie zciągnięto z obrony niektóre oddziały i naszą kompanię do Czernina, gdzie rozlokowaliśmy się w prywatnych kwaterach. Zajęliśmy się czyszczeniem broni i sprzętu oraz doprowadzeniem żołnierzy do estetycznego wyglądu. Następnie przydzielono nas do usuwania przeszkód w postaci: dział, samochodów, trupów ludzkich i zabitych koni na odcinkach głównych szos, to zadanie wykonywali żołnierze wyłącznie pod kierownictwem dow. kompanii i kol. Artiomenki, zaledwie raz na prośbę por. Tuszyńskiego poszłam na to zadanie. Pamiętam dow. pułku płk. Potapowicz, do tego rodzaju akcji zabronił wysyłać mnie.

Zostając z kilkoma żołnierzami na miejscu zakwaterowania uporządkowywałam osobiste rzeczy, lub odpoczywałam, nieraz odwiedzałam najbliższych zakwaterowanych kolegów. Parę razy byłam w sztabie batalionu w tym czasie obowiązki szefa pełnił por. Terechowicz, lubiłam go był wesoły i uprzejmy i gdy tylko czas pozwalał, przesiadywałam na dłuższej pogawędce. Zbliżały się Święta Wielkanocne, żołnierze noszili maki, jaj masła, zdobyli kury i kawałek świniska, co uległo przeróbce, przez gotowanie i smażenie, lecz z upieczeniem ciasta nie umieli sobie poradzić i zwrócili się do mnie, nawet por. Tuszyński prosił abym pomogła. Uśmiełam się i twierdziłam, że nie znam się, wiem tylko, że do ciasta daje się rozczyn z drożdzy, ale w jakim momencie nie mam zielonego pojęcia, lecz co należało stworzyć. Do wyrabiania ciasta wyznaczyłam dwóch żołnierzy, którzy pomagali nieraz żonom w domu i mieli jakie takie wyobrażenie, najni

ższy wzrostem szer. Machii zgłosił się z zapewnieniem, że umie palić w piecu i wie kiedy należy włożyć do niego bułki.

Ja wzięłam się za wyrobienie ciasta kruchego i wykrawanie ciasteczek. Dni 1-szy i 2-gi kwietnia w naszej kompanii obchodzono podwójne święto z okazji Wielkanocy jednocześnie witaliśmy chor. Juliana Żołyńskiego, który po ukończeniu szkoły polit.-wychowawczej wrócił do nas. Na przyjęciu byli również koledzy innych pododdziałów, piliśmy wódeczkę i zjadaliśmy smaczne zakąski a moich ciasteczek nie mogli się nachwalić.

Por. Tuszyński będąc w złotym humorku - przedstawił mnie, pod każdym względem w jak najlepszym świetle mówił o samych superlatywach jako dowódcy i jako kobiety, już krępowało mnie to i przerywałam, ale bez skutku w końcu zszedł na sztukę kulinarną, że i to potrafię dodając, że te bułki nieokłapłyby, lecz żołnierz mój nie umiał w piecu napalić, wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem i ku memu zadowoleniu przeszli na inny temat.

W drugi dzień świąt jeszcze nie zdażyłam nałożyć munduru, wtargnął do mego pokoju ordynans dow.kompanii i oblał mnie wodą przypominając, że jest "lany poniedziałek" byłam oburzona, że wszedł bez stukania, taki sam los spotkał por. Tuszyńskiego i ppor. Artiomienkę, namówiłam dowódcę i za wszystko szer. Karwacki dostał porządny wycisk.

Po świętach wznowiono ćwiczenia taktyczne, chętnie chodziłam na nie, gdyż już byłam do ostateczności znudzona tym wypoczynkiem.

Pod koniec pobytu w Czerninie rozwiązano kerną kompanię przydzielając żołnierzy i oficerów do lo-go pułku.

Następnie wyruszyliśmy z Czernina, przez Borki, Radostowo udając się do rejonu Gozdowie~~xxx~~. Marsze te przebywamy nocą przy

wzmoczonej czujności i z zachowaniem wszelkich środków ostrożności z uwagi na strefę przywrontową.

W dniu 17 kwietnia 10-ty pułk piechoty zabezpiecza przeprowę przez Odrę oddziałów 4-tej dywizji a sam ostatni z rozwiniętym sztandarem na czele z płk. Potapowiczem przekracza rzekę, następnie udaje się drogą polną do rejonu zesrodkowania Neu Karlshof, gdzie samoloty niemieckie zrzuciły kilka bomb.

W miejscowości tej pułk zajął obronę i najprawdopodobniej tam dow. dywizji gen. Kieniewicz zorganizował odprowę wszystkich oficerów dywizji, między innymi polecił zdąć kompaniom moździerzy, po trzy z każdej motywując tym że skuteczniej będąceny popierac natarcie piechoty z 6-ciu moździerzy, przy większej ilości żołnierzy a tym samym donoszących miny, aniżeli z 9-ciu, przy skapej obsłudze, co natychmiast zostało wykonane.

W związku z tym kompania nasza podzielona została na 2 plutony, w dodatku skierowano nam jednego oficera /nazwiska nie pamiętam/, który był moim zastępcą, natomiast kol. Artiomienko posiadał doświadczonego zastępcę kapr. Bertkova. Ze swego na marszu i krótkim wypoczynku, jaką taką pomoc miałam lecz przy najbliższym boju wypróbując go, egzaminu kompletnie nie zdał, wówczas postanowiłam go trzymać w decydujących chwilach nieco z dala od mojego plutonu w zespódzie naszych plutonów, gdyż swoim tchórzostwem wprowadzał panikę. W walce kol. Jurek przechodził do jednego plutonu a ja do drugiego i działaliśmy bez dodatkowej zbytecznej pomocy.

Z kolei nasz pułk rozpoczął marsz w kierunku Starej Odry przechodząc przez nią po moście zbudowanym, przez radzieckich saperów, następnie udaje się na północ od Wriezen i w natarcu osiąga zachodni skraj lasu ~~zatrzymując się~~ zatrzymując się w Ladeburg, gdzie kilkakrotnie jest ostrzeliwany z samolotów nieprzyjacielskich.

W dniu 22 kwietnia pułk 10-ty podchodzi do Birkenwender i wspólnie z pozostałymi pułkami zdobywa miasto, następnie udaje się w kierunku kanału Holenzollernów i pod silną osłoną 1 pułku moździerzy i słynnych katiusz

forsuje kanał staczając silne boje, których sobie dobrze nie przypominam, jak również poprzednich zobrazować nie mogę, gdyż odbywają się w szybkim tempie i bezpośrednio z marszu, podobny jeden do drugiego.

Z kolei pułk zajął obronę w Kienberg, 1-szy batalion na północ od tej miejscowości. Ludność cywilna ściśle współpracowała z wojskiem i być może dawała jakieś znaki rozpoznawcze swojemu lotnictwu i w godzinach popołudniowych samoloty nieprzyjacielskie zbombardowały dwa domy, tuż w pobliżu znajdującego się ze stanowiskiem dowodzenia dow. pułku.

Po pewnym czasie płk. Potopowicz, przed zgliszczami domu zorganizował odprawę oficerów z przypomnieniem, jak najdalej idących środków ostrożności. Wieczorem kompanie naszą udoje się do pobliskiego lasu, gdzie natchniost po naszym przyjsciu samoloty zrzucaja bomby, na szczescie strat nie ponosimy.

Następny dzień przeszedł spokojnie. W dniu 27 kwietnia 45r., nasza kompania i działka pancarne dołączają do kolumny marszowej pułku i udajemy się szosą najprawdopodobniej do Berger. Następnie szeroką drogą polną skręcamy w prawo, część kolumny przeszła, część pozostała jeszcze na rozwidleniu szosy. Tu spotykamy nasze czołgi, jeden z naszych oficerów zaczyna rozmowę z czołgistami, ja traktując ich, jako dobrych znajomych też podchodzę i dowiadujemy się, że oni mieli popierać nasz wkrztał oddział w natarciu, ale zostało zmienione, na moje zaproszenie aby z nami jechali odpowiadają, że chętnie zrobili by, lecz mają inne zadanie, na zakończenie jeden z nich dodaje, że nie zazdrozczą walk 10-mu pułkowi w rejonie Warsow, Lobeofsund, Meigelhorst i td. Rozstajemy się dołączając do kolumny, przechodzimy dalej.

Po pewnym czasie zwiad pułkowy zostaje ostrzelany, piechota rozwija się w szyku bojowym do natarcia po lewej stronie drogi, lecz Niemcy ostrze-
liwiają silnie z karabinów maszynowych, że nie doją się poruszyćXXXXXXXXXX

Następnie artyleria otwiera ogień i piechota naciera.

W tym z prawej strony nieprzyjaciel zaczyna ostrzeliwać, oddziały strzeleckie ruszają do natarcia, tuż za drogą płynie odnoga rzeki, nie szeroka, lecz żołnierze z moździerzami nie mogą jej przeskoczyć i wchodzi do wody powyżej kolan, ja i kol. Jurek w węższym miejscu przeskakujemy ją i po płaskim terenie przechodzimy dalej docierając do rowów melioracyjnych porośniętych łożyną. Tu zajmujemy ogniowe stanowiska i wspieramy natarcie piechoty. Czas się dłuży, natarcie powodzenia niema, niewiele posunęliśmy się do przodu, jest cisza, nieprzyjaciel chwilowo nieostrzeliwuje. W tym od strony prawej w błyskawicznym tempie zbliżają się niemieckie czołgi, zdajemy sobie sprawę z naszego położenia, dzięki przeciwpancernym w pobliżu niema, butelek zapalających nie mamy, fizylierami też nie jesteśmy, prowadzić ogień z moździerzy w tej chwili nie możemy, żołnierze z moździerzami oddalają się nieco jeden od drugiego oczywiście czując się rowami i przygotowują się do ewentualnego bezpośredniego ataku ze strony wroga chroniąc za wszelką cenę moździerzy poszczególne ich części mają na swoich plecach. W tym pada jeden pocisk za chwilę drugi, za trzecim zostaje ranna, nieprzyjaciel przenosi ogień dalej najprawdopodobniej pociski rozrywały się wokół stanowiska dowodzenia pułku i moździerzy 120 mm. Poczuję silne szarpnięcie i po chwili spojrzę na lewą rękę, była równo przecięta, przy główce ramiennej, trzymała się tylko na nerwach i głównej żyły, zacząłem strasznie rozpaczć, gdyż zdaję sobie sprawę, że jej niec nie będę. Podczołgał się do mnie żołnierz z byłego 1-go plutonu, wyplątał łożynę z pomiędzy żyły i przywiązał rękę do szyi, zrobiło mnie się lżej i zawiadomił, że wielu jest zabitych i rannych. Po pewnym czasie poczułem ból lewej nogi spojrzę na okazało się, że but jest podziurawiony odłamkami. Za chwilę znów podczołgał się do mnie celowniczy Żołyński z wiadomością, że moździerze są w porządku, lecz kilku jest rannych, denerwowało mnie, że jestem już wytraconą z ich szeregów, poza tym chciałem pozostać sama

ze swoimi myślami, powiedziałam aby odszedł, gdyż Niemcy mogą przejść do ataku. Po chwili usłyszałam urywki niemieckiej rozmowy, chciałam sprawdzić swoje siły, czy będę mogła się oziębła, lecz wysiłek był daremny, nie mogłam się nawet poruszyć, postanowiłam nie dać się wziąć do niewoli, której ~~nie chciałam~~ lekkałam się, obawiając się abym nie straciła przytomności - cały mój wysiłek myśli i woli skoncentrował się wówczas na jednym punkcie, aby z sobą skończyć, gdy hitlerowcy będą się zbliżać i ta myśl może utrzymywała mnie w stanie świadomości. Później zaczął padać drobny deszcz, było mi zimno wiedziałam, że sanitariusze nie mogą mnie zabrać z pola walki, jest jeszcze widno, za chwilę zaczął zapadać zmrok wówczas zbliżył się kol. Artiomienko z zapewnieniem, że ude się na poszukiwanie sanitariuszy, gdy było już zupełnie ciemno przyszli z noszami, zabrali mój pistolet i nawet pas, do tych dwóch przedmiotów wielką przywiązywałam wagę, pas ten otrzymałam w prezencie od plut. Steciuka z 3-go plutonu, był bardzo ładny /Steciuk zginął pod W-wa/, lecz w tej chwili było mi objętne. Po pewnym czasie przekroczyli odnogę rzeczki i położyli mnie na furmance udającej się do punktu sanitarnego. Lekarz Kirz i siostra Ola pracują przy mnie z wielką starannością i wprost z zadziwiającą zręcznością, dano mi zastrzyki wzmacniające - poczułam się lepiej i z najdrobniejszymi szczegółami opowiedziałam przebieg walki i zranienia. Za chwilę psychicznie przygotowują mnie, do opuszczenia punktu twierdząc, że jestem ciężko ranną i pojedę do Medycyńskiego Sanitarnego Batalionu, odpowiem, że tu jest mi tak dobrze z wami i nie chcę nigdzie jechać, u ręki tylko nerwy pozwiązywać, nogi nie widziałam wyjścia, że muszę jechać i gdy przyrzekają że odwiedzą mnie, wyrażam wówczas zgodę. Drogi sanitarkę nie pamiętam, przebiegi świadomości chwilami odzyskują w szpitalu. Utrzymują, przy życiu jedynie transfuzją, glukozą, za parę dni zmuszają mnie do jedzenia to było najgorsze, jeść nie mogę - wykluczone, gdy podchodzą do mnie, ~~xxxxxxx~~ proszę aby odeszli, chcę mieć ciszę i spokój, za chwilę znów ktoś przychodzi, na moje zapytanie dlaczego zanieczyszają mnie swoją obecno-

5/1/65

ścią, wyjeżdżają mi, że wzywałam, tak "wydawałam rozkazy" za parę dni zkomunikowano mi o tym. Przy mnie stała ktoś na dyżur, pewnego dnia pytam : czy nogą mam niewysoko amputowaną prawą? odpowiedź twierdząco, więc przez dłuższy okres czasu pozostawałam w przekonaniu, że tylko mam amputowane palce u nogi, nie wiem dlaczego w tym utwierdziłam się. Następnie odbywa się mój pierwszy opatrunek, przed tym proszę o narkozę, oczywiście nie dają mi, znieczulają zastrzykiem, mimo tego ból jest straszny pamiętam, jak przyniesiono mi na stół opatrunkowy, lekarze między sobą zastanawiali się od czego zacząć, odpowiedział im "wszystko na raz, będzie szybciej". Następnie szpital ewakuuje, nas najciężej rannych pozostawiają na miejscu z dwoma lekarzami, za parę dni żegnają mnie : lekarz bardzo sympatyczna brunetka z Leningradu i polityczno-wychowawcza, która często opiekowała się mną /spotkałam ją w W-wie, przy ul. Królewskiej 2 - nazwisko nie przypominam sobie/ i udają się sanitarką do szpitala położonego w Bezentelu. Tu zostaje mnie kapitulacja Niemiec, lekarze przychodząc na obchód, zatrzymują się długo przy mnie, wreszcie jeden z nich zaczyna rozmowę na różne tematy, odpowiadam niechętnie i zastanawiam się dlaczego mnie męczy, lekarz ten przygotowuje mnie do wiadomości o kapitulacji, i gdy przyjąłam z zupełnym spokojem widziałam, że odetchnął z ulgą. Następnie przywożą nas do Bydgoszczy, w pociągu zsuwa się opatrunek, wtedy zobaczyłam, że noga amputowana jest znacznie wyżej, niż przypuszczałam, przeżyłam to bardzo i kompletnie zakłamuję się. Lekarze i personel otaczają mnie ^{jak} najtroskliwszą opieką, pytają na co mam apetyt, na nic nie mam chęci, zmuszają. Jest ciepło i skłonecznie sanitariusze wynoszą mnie na powietrze, obok mnie stawiają na noszach młodego chłopca, który ma prawą rękę w gipsie i amputowaną nogę powyżej kolana, najprawdopodobniej był to Edward Kopij "dziecko lo-go p.p." najmłodszy żołnierz z naszej Dywizji, rozczulałam się nad nim, gdy sanitariusze zorientowali się, już na przyszłość ulokowują nas oddzielnie w innych zakątkach ogrodu.]

8

8

W związku z segregacją poszczególnych schorzeń, przenoszą mnie do innego szpitala na terenie Bydgoszczy, tam również opiekę mam dobrą, lekarze i personel przychodzą na zmianę, rozmawiają z tym samym starają się rozprószyć przykre myśli. Za jakiś czas przywożą kol. ze szkoły podchorążych ppor. Krupicz Larysę obecnie Żakowicz - zaprzyjaźniamy się bardzo i jest nam rzecem dobrze. Stopniowo powracam do równowagi, nawet posiłki konsumuję. ^{by}muje sama już, tak bywa w dzień, natomiast noce ^{by}bywają makabryczne, nie mogę sypiać i nie przyznaję się. Zaczynam ponownie palić papierosy, lecz nie mogę przypalić, Larysa w trosce o moje zdrowie mówi : pociągnij kota za ogon a nie papierosa. Nauczyłam się zapalać zapałkę i bez niczyjej pomocy przypalam i ćmię papierosy. Po tygodniu odczuwam szaloną zmianę, nie płaczę, lecz myślę rozsądniej, po pewnym czasie przesypiam smacznie całe noce. Wkrótce otrzymuję protezę i szybko opanowuję chodzenie na niej. Późną jesienią na teren szpitala przybywa płk. Wachtel z Wydz. Aw. i Odzn. M.O.N. wszystkich rannych dekorują na szlach, mnie i Larysę proszą do kancelarii, gdzie wręczają nam "Krzyże Grunwaldu" i Krzyże Walecznych. Pułkownik przeprowadza z nami rozmowę i umawiamy się, jeżeli będziemy w Warszawie, zgłaszamy się do niego osobiście.

Myśl moja nieustannie pracuje, nad ułożeniem sobie warunków, w jaki sposób mam się urządzić, jak zacząć żyć, jeden z lekarzy najprawdopodobniej ordynator szpitala, stara się wysondować mnie o czym myślę, postanawiam się zwierzyć i mówię: pułkowniku jestem dla was pełną uznania i szacunku i nie tylko dla was, wogóle lekarzy - ludzi z którymi zetknęłam się w szpitalach, podziwiam wasz trud, ofiarność i podejście do chorych, dzięki lekarzom żyję i dochodzę do zdrowia, dokonali tego, co było w ich mocy, jeszcze miesiąc lub dwa i znajdę się na nowym etapie drogi, nie wiem jak mam zacząć, przetrzymanie mnie dłużej w szpitalu nie urządzi mnie. Wywnętrzam się przed wami, gdyż wiem że jesteście usosunkowani do mnie serdecznie, wasza rola w zasadzie jest już skończona, mimo waszych chęci pomóc mi nie możecie. Pułkownik wysłuchał i odpowiedział : na ile was znam, radziłbym pójść na Akademię Wojskową. Z uwagi na ciężkie inwalidz

two napewno nie skierują mnie i ja też nie mogę się podjąć.

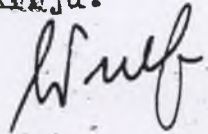
2

W przejeździe zimową porą do Sanatorium w Krynicy zgłaszamy się z Larysą do Wydz. Aw. i Odz. M.O.W. płk. Wachtla, który poleca nam napisać życiorysy. Po przeczytaniu naszych przebiegów służby wojskowej były Marszałek Michał Rola Żymierski udziela nam audiencji, na skutek której postanawia nas niedemobilizować i wyraża życzenie zatrudnienia mnie z ramienia Wojska w Zarządzie Głównym Zw. Inwal. Woj., co poleca do wykonania płk. Wachtlowi. Po otrzymaniu protez: kończyny górnej i zapasowej dolnej w Szpitalu Okręgowym w Poznaniu powracam do Warszawy, gdzie poprzez Sztab Generalny W.P. i Gł. Zorz. Pol. Wych. W.P. zostaję tam zakwaterowaną i w maju 1946r. zatrudniona w Zorz. Gł. Zw. Inw. Woj. R.P.

Michał Rola Żymierski ułatwił i pomógł mi w ustabilizowaniu się w ponownym życiu udzielając wsparcia nie tylko ~~materialnego~~ materialnego ale i moralnego, którego tak bardzo potrzebowałam.

Opisując szeroko pobyt w szpitalu chciałam naświetlić najcięższy okres w moim życiu, bez porównania łatwiej było staczać boje na froncie, aniżeli przeżywać okres po poważnym zranieniu. Przystosowanie się i zaklimatyzowanie, do zupełnie odmiennych warunków w dodatku, przy niepełnej sprawności fizycznej wymagało wiele hartu ducha i siły woli, nie tylko w czasie leczenia, lecz i po wyjściu ze szpitala. Ciężkie inwalidztwo niezezwoiliło mi na obranie i pracę w dowolnym zawodzie, ale i też nieprzeistoczyłam się w bezwartościowego i obojętnego członka społeczeństwa i państwa.

W międzyczasie odwiedziłam również swoją jednostkę, miło było spotkać towarzyszy broni z okresu walk, a gen. Kieniewicz nadał mi do awansu z podporucznika na porucznika - nadany przez Ministerstwo Bezpieczeństwa IV-ta Dywizja przeformowana została w Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego, dla nich wojna nie skończyła się, w tym czasie mieli poważne zadanie - czekali na nich walki wewnątrz kraju.



Warszawa, dnia 30.XI.63r.

(1)

I Dane osobowe

porucznik Czesław Wulf

ur. 11 listop. 1921 roku w Felsztynie pow. Sześćborze.
Ojciec wyemigrował do Stanów i pracował jako górnik.

II Wykształcenie

Mkoleiowyła Gimnazjum w Sześćborze.

Była bardzo zdolna. Dalsze plany
z miewszyla wojna.

III Nie brała udziału w wojnie obywatelskiej 1939.

IV W lutym 1940r. rodzina Wulfów została

deportowana na Syberię. Wios Jurińska

koło Krasnouralska. Czesława rozpoczęła

pracę przy wyrzbie lasu. Warunki pracy gorne

a pogorszyły się jeszcze, kiedy zimą 1941r. ojciec

po odmrożeniu nóg i ręk i po przebytej dysenterji

zaczęł chorować. Matka idzie na pół roku do

mieszkańca za opuszczenie trzy dni pracy.

W 1942 roku Czesława wraz z ojcem podjęła

decyzję o przenieśieniu się do Krasnouralska, gdzie

zostaje zatrudniona przy kopalni wudy.

Swoją siedmioletnią ~~edukację~~ siostrę rejestruje jako

swoją ^{górniczą} siostrę i w ten sposób zapewnia jej przedśkoce.

Dzieta wtedy 2mizrek Patr. Polskiej, jest jej wartkiej.

V Przebieg służby wojskowej

W sierpniu 1943r. staje w szeregi Batalionu

Kolickiego.

Tragiczne przedstawienie się los rodziny. Czesława
przedstawiła sprawę dowódcy, w skutek interwencji
rodzina otrzymywała pomoc ze związku Płkrotki i Polaków

W październiku 1943 skierowana zostaje w tury
w Riazaniu. Uczy się niezwykle pilnie. W lutym
1944 umiera jej matka. Zostaje dwójka dzieci
i matka siostry.

W lutym 1944 Czesława Wulf zostaje promowana
do stopnia chorążego i skierowana na Smoleńszczyznę,
jej jednostką będzie 10 pułk piechoty 4 D.P.

Obejmuje dowodzenie 2 plutonem 7 kompanii
moździerzy 1-go batalionu. Pod koniec czerwca 1944
wraz z plutonem rozpoczyna swój szlak bojowy.

W tym samym pułku spotyka swoją koleżankę Emilię
Sierczak, skierowaną do 10 pułku na dowódce
plutonem fizyliarów. Jej postawa odpowiednio do niego
dowodcy budzi respekt. Ambitna Czesława umie
sobie radzić. Wśród walk por. Wulf przeżywa szlak
bojowy 10 pułku z pod Warszawy - przez Bydgoszcz i Natłomski
aż nad Łabę.

Pod koniec kwietnia ¹⁹⁴⁵ 10 pułk nacięta wzdłuż drogi prowa-
dzącej z Berger Damm do Warszawy. W tym czasie Niemcy
byli dobrze umocnieni. Czesława Wulf rozmieszcza pluton
moździerzy na łęce ostrońskiej Łozina. W tym czasie
Niemcy podejmują kontratak w parę godzin. Czesława
nie mogła prowadzić ognia z moździerzy ponieważ
oni byli zbyt blisko, byłoby to nieskuteczne.

W prawnej chwili powolta kol i szarp niżej, Szpajnotka na lewą rękę, była odejścia. Zniszcła na wózce żył, jeden a jej ielmenty podważył się do niej i wypłótał rękę a Łoziny. Jedynak nie mogła się ruszyć bo nogi też były zranione, Dwa tygodnie poddawali się socjofarum. Oremieziono ją do Szpitala w Bydgoszczy. Ampułowano rękę i nogę do kolana. Nie oświadczyli wzysej radośnie kapitulacji Niemiec w maju 1945r.

VI Życiorys po wojnie

Po wyłączeniu i strymaniai prater w 1946r. potuermk Crestawa Wulf podjęmyje staraculca odnolewulca miednej siostry, która po śmierci matki przekywała w sierocińcu Z.P.P. w Monieeney pod Moskwy. Zabrana ją do Kraju, wychowuje, kształci i wydaje za męża.

Demobilizuję się w 1950r i zaczynam pracę w Inwalidekiej Spółdzielni Sastronomicznej - po latach stare zdrowie pogorzył się. Raz po raz zgłaszała się do lekarzy prosiąc o wyższe wydrucje - cyel odleuculca. Potem choroba nowotworowa zabita Crestawę. Zmarła 6 lutego 1965 roku w Warszawie. Pochowana była na Cmentarzu Komunalnym na Powązkach.

Odznaczona posmiertnie Ordereu Krzyża Smmwobolu III klasy i Krzyżem Walecznych.

opracowano na podst. relacji Crest. Wulf relacji siostry Łofii oraz kpt rez Ludmiki Rauth J. Wolan

1/171

WULF CZESŁAWA (1921-1965), por. st. spocz. d-ca 2. plut. moździerzy 10 pp. 4. Dywizji Piechoty im. Jana Kilińskiego, Inwalidzka Spółdzielnia Gastronomiczna - referent d/s. personalnych.

Urodziła się 11 listopada 1921 w Felsztynie k. Lwowa, córka Władysława i Salomei. Ojciec Czesławy parokrotnie wyjeżdżał zarobkowo do USA. Po powrocie w 1934 zakupił duże gospodarstwo rolne w Grodowicach k. Sambora, dokąd przenieśli się cała rodzina Wulfów. Rodzice Czesławy mieli ambicje dać wykształcenie dzieciom. Najstarsza córka Czesława po ukończeniu gimnazjum i zdaniu matury w Samborze, w 1938 rozpoczęła studia medyczne we Lwowie. W dniu 10 lutego 1940 rodzina Wulfów, składająca się z rodziców oraz trójki rodzeństwa (Czesławy, 7 lat młodszego brata Józefa i 15 lat młodszej siostry Zofii) została wywieziona do Juriewki k. Krasnouralska na Syberii. W miejscu zesłania Czesława i rodzice pracowali przy wyrębie lasu. Warunki pracy i bytowania były wyjątkowo ciężkie, zwłaszcza gdy ojciec Czesławy na skutek odmrożenia stracił palce lewej ręki. Wiosną 1941 Wulfowie z Juriewki uciekli do Krasnouralska, przedzierając się pieszo w ciągu tygodnia przez tajgę. Czesława najpierw pracowała w kopalni rudy miedzi, a następnie w miejscowym przedszkolu, w którym umieściła Zosię, stwarzając jej możliwość korzystania z lepszego wyżywienia. Dla łatwiejszego przyjęcia Zosi do przedszkola podała ją za swoją córeczkę. W czerwcu 1942 zmarł ojciec, więc cały ciężar utrzymania nieletniego rodzeństwa spadł na barki Czesławy oraz jej matki. Na przełomie 1941/42 do Krasnouralska docierały wieści o tworzeniu Armii Andersa, ale to pozostało bez wpływu na życie Czesławy. Wiosną 1943 nadeszły rozpowszechnione przez Związek Patriotów Polskich i czasopisma sowieckie wiadomości o powstaniu 1. Dywizji im. Tadeusza Kościuszki. W sierpniu 1943 Czesława została zmobilizowana przez miejscowy Rajwojenkomat (Rejonową Komisję Uzupelnień) do wojska polskiego. Po dotarciu do Sielc nad Oką trafiła do Samodzielnego Batalionu im. Emilii Plater. Czesia wspominała jakie otrzymała wyposażenie: spodnie drelichowe, bluzę, buty z cholewami, onuce, pas, furażerkę, płaszcz sukieny i bieliznę osobistą oraz łyżkę i menażkę. Nie długo była w Batalionie, gdyż pod koniec września skierowano ją wraz z innymi koleżankami, w łącznej liczbie 54, do oficerskiej szkoły piechoty w Riazaniu. Tam trafiła do plutonu moździerzy. W plutonie tym ćwiczenia były niesłychanie trudne, gdyż trzeba było dźwigać na plecach bardzo ciężki moździerz lub płytę oporową o wadze 16 kg. Szkolenie była dla wszystkich bardzo intensywne; każdy dzień wypełniony zajęciami od 6-ej rano do 22-ej. Chodziło o jak najlepsze i jak najszybsze przygotowanie do walki na froncie. Z opanowaniem pamięciowego materiału nie miały słuchaczki kłopotu, gorzej było z ogromnym wysiłkiem fizycznym, któremu musiały poddać szkolone na dowódców pododdziałów strzeleckich, cekaemów i moździerzy. Ćwiczenia odbywały się w surowych warunkach klimatycznych przy 25 stopniowym mrozie, spało się w słabo opalanej sali. Wszystkie te trudności słuchaczki pokonywały z zawziętością, samozaparciem i nade wszystko ambicją. Nie chciały być gorsze od swych kolegów. Zmoczony w czasie ćwiczeń spodnie układały pod prześcieradła, aby własnym ciepłem wysuszyć je i rano stanąć na zbiórce z zaprasowanymi kantami. Pod koniec szkoły, w lutym, Czesława otrzymała wiadomość o zgonie matki, która przed śmiercią oddała siedmioletnią Zosię pod opiekę rodzinie Jedliczków. Czesia na ich ręce posyłała nieduże sumy ze swego żołdu oficerskiego. Opieka tej rodziny okazała się nierzetelna. Przesyłki zabierali dla siebie, a Zosię umieścili w w polskim domu dziecka w miejscowości Minieta k. Swierdłowska, o czym, rzecz jasna nie powiadomili Czesi. W ten sposób kontakt między siostrami urwał się. Natomiast brat Józef dodając sobie lat dostał się do wojska polskiego w końcu 1943 i przebył drogę aż do Berlina. Czesława po egzaminie w szkole w Riazaniu otrzymała stopień chorążego i skierowana została do samodzielnego dywizjonu moździerzy 82 mm. Przechodziła tam dalsze intensywne przeszkolenie. We wspomnieniach podała, że wiedza

o moździerzach bardzo ją pochłonęła. W tym czasie była rozważana ewentualność zatrudnienia jej w pracy sztabowej, na co nie wyraziła zgody i wybrała służbę liniową. Skierowano ją więc na dowódcę męskiego 2. plutonu moździerzy 10 pp. 4. Dywizji. Czesława stanęła w plutonie przed mężczyznami, niekiedy dwukrotnie od niej starszymi, a mężczyźni przecież nie lubią, kiedy dowodzą nimi „baby”. Jakiego trzeba było trudu z jej strony, hartu, wysiłku psychicznego i mocnego charakteru oraz umiejętności podejścia do frontowego żołnierza, a także osobistego przykładu by zdobyć wśród nich posłuch. Prowadziła intensywne szkolenie w zakresie obsługi moździerza i cieszyła się, że pluton szybko opanował tę wiedzę. Miała świadomość, że prowadząc żołnierzy do walki sama po raz drugi musi zdać egzamin, aby bojowy rozkaz mógł zostać wykonany przy jak najmniejszych stratach w ludziach. Z plutonu uczyniła zespół karnych żołnierzy, którzy jednocześnie otaczali ją ojcowską niemal opieką. Utrudzeni przemarszami, walką, osobistymi niepowodzeniami nigdy na postojach nie zapominali zorganizować jej jakiegoś kąta, gdzie mogła się umyć czy przebrać. Jednostka Czesi w kierunku ziemi polskiej wyruszyła spod Sum na Ukrainie, maszerując przez Kowel, Chełm, Lublin do Warszawy. Tutaj nad Wisłą pozycje obronne, ^{zajęto} między innymi, na Saskiej Kępie. Po raz pierwszy pluton Czesi przeszedł chrzest bojowy ostrzeliwując pozycje nieprzyjacielskie na lewym brzegu Wisły, osłaniając berlingowców, którzy przeprawili się przez Wisłę dla zasięgnięcia języka. W drugiej połowie stycznia 1945 jednostka Czesi przeszła po lodzie Wisłę w pobliżu Góry Kalwarii, omijając Warszawę. W dniu 22 stycznia 10 pp. doszedł do Bydgoszczy, a 30 stycznia przekroczył granicę polsko-niemiecką z 1939 i przystąpił do walk w paśmie Wału Pomorskiego. Stanowiska moździerzy były wielokrotnie zmieniane dla wspierania nacierającej polskiej piechoty. Niemcy bronili się zaciekle. Pod Ptuszą kompanie strzeleckie 10 pp. poniosły duże straty. Pod Jastrowem zginęło 4 żołnierzy z kompanii moździerzy, w tym jeden z plutonu Czesi. Sytuację pogarszał fakt, że nie artyleria nie mogła udzielić piechocie właściwego wsparcia, gdyż z powodu śnieżnych zasp działa z całym taborem utknęły daleko w tyle. W dalszej ofensywie i ciężkich walkach m. in. w okolicach Jeziora-Dobre, pod Toporzyskiem Czesia wyróżniała się w działaniach niszczenia grup nieprzyjacielskich. Z jej inicjatywy i na jej rozkaz wystrzelone celnie 3 pociski moździerzy chwilowo powstrzymały działania nieprzyjaciela. Dowódca 10 pp. wydał rozkaz dowódcom kompanii strzeleckich, by wyznaczyć kilkunastu żołnierzy do desantu czołgowego w planowanym natarciu na Żabin. Czesia mimo, że takie zadanie bojowe nie należało do niej, jako moździerzowca, wyraziła gotowość pokierowania grupą desantową i wzięła udział w ataku. Za wykonanie tego szczególnie niebezpiecznego zadania udzielono jej pochwały. Po opanowaniu Drawska i chwilowym odpoczynku, w drugiej połowie marca 1945 10 pp. wyruszył w kierunku Kołobrzegu, obronnej twierdzy nieprzyjacielskiej. W bitwie o Kołobrzeg, w morderczym ogniu nieprzyjaciela 10 pp., wspierany moździerzami plutonu Czesi, uczestniczył w natarciu na obiekty fabryczne oraz parowozownię. W tym czasie Czesia spotkała się po raz ostatni z poległą wkrótce w tym miejscu ppor. Emilią Gierczak d-cą plut. fizyl. 10 pp. 4. DP. W dniu 17 marca dowodzony przez Czesię pluton moździerzy wraz z 10 pułkiem przeszedł do natarcia w kierunku dzielnicy willowej Kołobrzegu. Moździerz Czesia ustawiła przy nasypie, blisko wagonów kolejowych. Tutaj została kontuzjowana doznając przez dłuższą chwilę niedowładu całego ciała. Wypadek ten nie wyłączył jej z dalszej walki. Po zdobyciu Kołobrzegu, w dn. 18 marca 1945 10 pp. udał się w kierunku Trzebiatowa przechodząc do pozycji obronnej nad Bałtykiem. Na dalszym szlaku bojowym, w dn. 17 kwietnia 10 pp. i pluton Czesi ubezpieczał przeprawę przez Odrę oddziały 4. Dywizji, po czym rozpoczął marsz w kierunku starego koryta Odry. Zdobywano kolejne miasta, tocząc ciężkie boje. W dn. 27 kwietnia 1945 pluton Czesi wraz z 10 pp. znajdował się pod ostrym ogniem karabinów maszynowych w okolicy Bergerdamm. Z uwagi na bliskość nieprzyjaciela z trudem dochodziło do skutecznego wspierania działań piechoty moździerzami. Padały gęsto

wrogie pociski. Jeden z nich ciężko ranił Czesię. Straciła całą lewą rękę i lewą nogę. Czesia swoje odczucia w chwilę po zranieniu opisała tak przejmująco, że czytającemu ściska się serce. Ledwo opędziła się od myśli samobójczych. Zabrano ją z pola walki do szpitala polowego, a do końca wojny pozostało zaledwie 11 dni. Jerzy Nafalski autor książki „Pod sztandarami 4. Pomorskiej Dywizji Piechoty im. Jana Kilińskiego” podaje: *Największe poświęcenie i odwagę godne najlepszych tradycji polskiego żołnierza wykazał dowódca 2 plutonu moździerzy 82 mm ppor. Czesława Wulf. Wybuch wrogiego pocisku wyłączył ją z dalszej walki. Gdy podbiegli żołnierze z jej plutonu, ppor. Czesława leżała nieprzytomna, ściskając w ręku rewolwer, a z urwanej nogi sączyła się obficie krew. Przez pierwsze dni w szpitalu nie miała świadomości, jak ciężko została okaleczona. Ani lekarze, ani siostra pielęgniarka Wanda Barburska nie mieli odwagi jej powiedzieć. Czesia prawie rok leczyła rany w różnych szpitalach, ostatnio w Bydgoszczy, gdzie uczyła się korzystania z protez. W 1946 Czesia natknęła się na informację w „Życiu Warszawy”, że ze Związku Sowieckiego przyjechały do punktu rozdzielczego w Gostyninie sieroty z polskiego domu dziecka. W podanym wykazie odnalazła siostrę Zosię. Nie łatwa była jeszcze droga do spotkania obu sióstr. Czesia pojechała do Gostynina, gdzie już nie zastała Zosi i tylko uzyskała skąpe informacje o miejscu jej pobytu. Ostatecznie Czesia wraz z bratem Józefem odebrała Zosię z kolonii letniej w Świdrze. Bolesne było dla Czesi, że Zosia jej nie poznała, ale poznała brata Józefa. W trójkę zamieszkali w Warszawie przy ul. Królewskiej. Wielkim szokiem dla dziesięcioletniej Zosi było obcowanie z dotkniętą ciężkim kalectwem siostrą. Jednakże w dorastającej Zosi Czesia znalazła ofiarną i troskliwą opiekunkę. W 1946 Czesława Wulf została delegatką ze strony Wojska Polskiego do Zarządu Głównego Inwalidów Wojennych. Po demobilizacji w 1950 podjęła pracę w Inwalidzkiej Spółdzielni Gastronomicznej. Oprócz utraty ręki i nogi była naszpikowana drobnymi odłamkami. Cierpiała bardzo, stopniowo odłamki te ropiąły i wychodziły z jej ciała. Zmarła na raka 6 lutego 1965 i została pochowana na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Odznaczona Krzyżem Grunwaldu III Klasy i Krzyżem Walecznych oraz licznymi medalami wojennymi.*

A. Żurawska
Adela Żurawska

Wspomnienia własne autorki i informacje przekazane przez Zofię Suligę, siostrę Czesławy; WIH relacja własna Czesławy Wulf, sygn. IV/44/141, s.1-67; S. Drzewiecka, *szłyśmy znad Oki*, Warszawa 1985, ss. 224-246; J. Nafalski, *Pod sztandarami 4 Pomorskiej Dywizji Piechoty im. Jana Kilińskiego*, Warszawa 1978, ss. 316-318, 330, 392; K. Wójtowicz, *Dziewczęta w rogiatychkach*, Warszawa 1983, ss. 83, 111, 120.

i

WP

J.: 849/WSK

++ 1965

WULF CZESŁAWA

zam. ORZECZOWSKA

B. Rojeli 2010

1

T. 849 / wsk

WP

++
WULFÓWNA Czesława
1921-1965 por. WP. D-ca 2 plutonu
moździerzy 10 pp. 4 DPim Jana
Kilińskiego. Szkoła w Riazaniu.
Od pocisku traci rękę i nogę.
Krzyż Walczących Krzyż Grunwaldki
III kl.

Zob.

Sylwetki Kobiet Żołnierzy
Fundacja „Archiwum i Muzeum
Pomorskiej Armii Krajowej oraz
Wojсковej Służby Polek

DRut
2004

str. 378, 379, 380, 381

i

T.:

K. Grupa III

LWP

WULF Czesława

3310. Wulf Czesława c. Władysława, ur.1921, podporucznik, dowódca
plutonu moździerzy 10 pułku piechoty 4 Dywizji Piechoty
Rok.pers. MDWP Nr 1176 z dnia 20.12.1945 r.
C. ranna 23.04.1945 r., amputacja nogi i ręki. (s. 534)
ABOKRP t. 217 s. 2

zob: Imienny spis oddz. K. Grupa .
WJH sygn. IV/96/59

I. Świt. II 2001

1. Armia WP

Wulf-Orzechowska Czesława mjr (1921 – 1965)

- powołana do WP, krótko była w Samodzielnym Batalioie Kobiectm i skierowana do Szkoły Oficerskiej w Riazaniu, była w plutonie moździerzy, następnie trafiła do Samodzielnego Dywizjonu Moździerzy. Została dowódcą męskiego 2. plutonu w 10. pułku piechoty 4. Dywizj. Z frontem dotarłado Bergerdamm. Ciężko ranna straciła lewą rękę i nogę.

Źr. Maria Wójcik, Kobiety – żołnierze 1. i 2. Armii WP – biografie i wspomnienia, s. 30, 227 – 231, 243

K.Wojt. 2011

6€

T 849/WSK

LWP

WULF CZESŁAWA por.

Po szkole oficerskiej skierowana do 4 Dywizji Piechoty im. Jana Kilińskiego, 10 Pułk Piechoty na stanowisko dowódcy męskiego Plutonu moździerzy. W dniu 27 kwietnia 1945 r., a więc miesiąc przed zakończeniem wojny została ciężko ranna, tracąc lewą rękę i lewą nogę. Przez rok leczyła rany w różnych szpitalach. Zdemobilizowana w 1946 r. Po wojnie pracowała w Inwalidzkiej Spółdzielni Gastronomicznej. Oprócz utraty ręki i nogi ranna drobnymi odłamkami, co przyspieszyło Jej śmierć. W dniu 6 lutego 1965 r. zmarła na raka. Odznaczona Krzyżem Grunwaldu III klasy i Krzyżem Walecznych.

ii

T. 849 KG III Id. KW

LWA

Por. Wulf Gestawa

nr. 1921

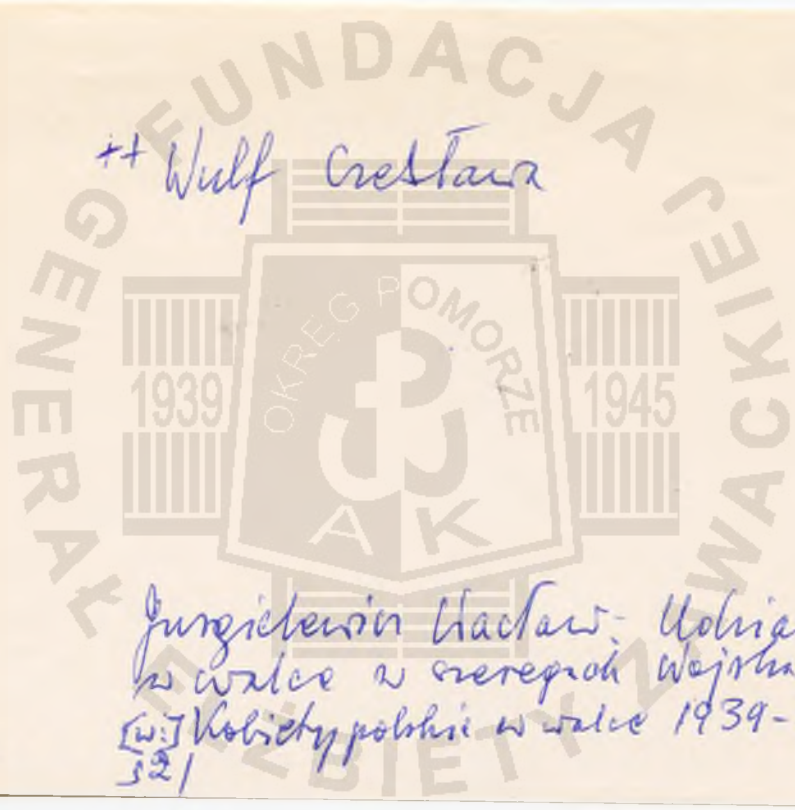
zob. "Epitafium", Zielona Góra, maj 2000,
s. 2.

M. Stal.
v 2000

2

LW. P
25122

++ Wulf Crestara



Jungiewiczowa Hactaw: Udział kobiet
w walce w okolicy Województwa Pomorskiego
[w:] Kobiety polskie w walce 1939-1945
521

L-K.92

LWP

WULF Czesława

Księżka Śt. Dmtrieckiej

"Święty i ład Olá"

Yp-va 1985, Wyd. II str. 89, 91, 154, 155,
157, 158, 162, 168, 170,
171, 180, 186, 197, 244,
245, 246

W. 98

i

T. 762

LWP

zdj.
chor. Wulf Czesława

zob.

Tomczak E., T. 731/WSK, s. 33

Mcz 98

i

zdj.

nr. 849

LWP

† 1965

WULF Czestawa

- dowódca 2 plutonu & kompanii
moździerzy & 1 batalionu

K. Min'98

J. 849
WULF CZESŁAWA, por.

LWP

- Szkoła Oficerska w Riazaniu

Źródło: Wójtowicz K., *Dziewczęta w rogatywkach*, s. 30, 83,
85 – 88, 111, 120

K.Wojt., 2004 r.

por. WULF Czesława

VI. Fotografic

1. zofj. frontowe w murzoluze, Ksero - int. 1





WULF CZESŁAWA - por. d-ca plutonu męskiego,
ciężko ranna na Wale Pomorskim,
zmarła po wojnie.

T. 849 / WSK

LWP

por WULF Czesława

VI Fotografie

1. zdj. z książki - ksero - str. 2



LIVP

1. WSK
Teczki osobowe
2. T. 849 / WSK
3. ksero
- 4.
5. WULF Czesława
- 6.
7. brak
8. Uwagi:
Opis fot.



Porucznik
Czesława Wulf, dowódca
plut. nieobdzierżony
10 pp

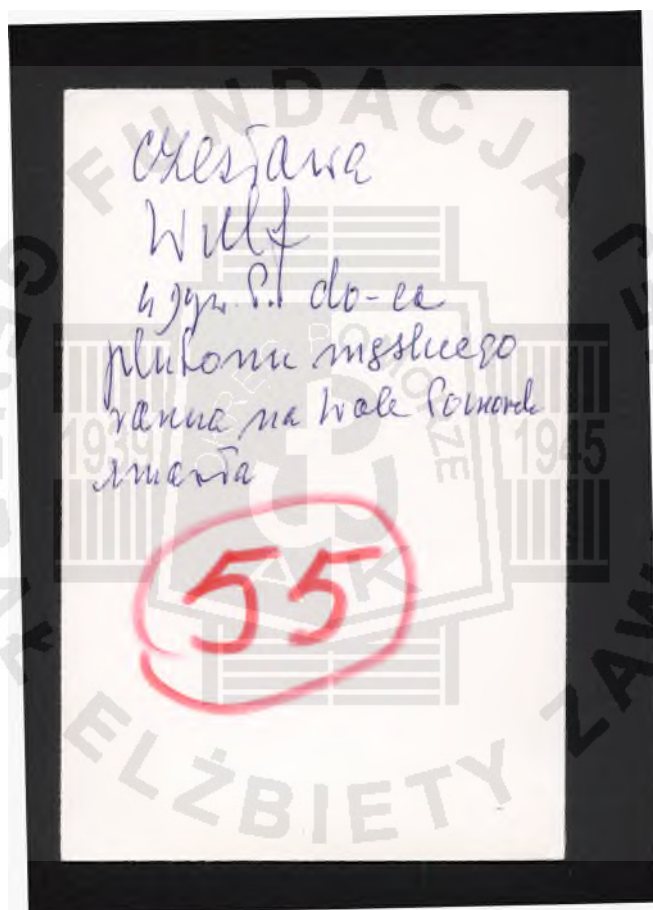
Urodzona 11 listopada 1921 roku w Felsztynie, pow. Sambor. Zmarła 6 lutego 1965 roku w Warszawie¹.

Wiosną 1942 r. Czesława wraz z ojcem podejmuje decyzję przeniesienia się do Krasnouralska, gdzie zostaje zatrudniona przy taśmie przesyłowej w kopalni rudy. Zdeperowana ciężką sytuacją materialną postanawia siedmioletnią siostrę zarejestrować jako własne dziecko i w ten sposób zapewnić jej przedszkole — z wyżywieniem — dla dzieci pracowników kopalni. Po zorganizowaniu przez ZPP w Krasnouralsku polskiej ochronki, Czesława przenosi tam Zosię, a sama podejmuje pracę jako wychowawczyni.

W tym czasie umiera ojciec. Bolesnie dotknięta, boryka się wraz z matką, by utrzymać rodzeństwo.

W sierpniu 1943 r. wraz z Marią i Zofią Żmuda dostaje powołanie do 1 Korpusu Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR. Jakże tragiczne jest jej pożegnanie z matką i rodzeństwem. Z sercem przepelnionym lękiem o ich życie staje w szeregach batalionu kobiecego. W batalionie przedstawia całą





Wulf Czesława

